GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 WRZEŚNIA 1932

NR. 16—18 ROK II

1-15

CENA NUMERU 1 ZŁ. 20 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 16-18
15 — IX
1932 R

KOMITET REDAKCYJNY: ALEKSANDER K. IVANKA, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

DWA TYGODNIE

REDEFLACJA I OPTYMIZM.

Miesiące letnie b. r. różnią się djametralnie od lata r. ub. O ile wówczas świat gospodarczy był pod wrażeniem katastrofalnych wstrząsów w Niemczech i Austrji, a następnie w Anglji, o tyle obecnie powstała nagle i rośnie fala optymizmu, rozlewająca się od Nowego Yorku poprzez Londyn do Berlina i Warszawy.

Symptomatami poprawy — że się tak wyrazimy — psychologicznej są: zwyżka cen podstawowych surowców przemysłowych, silna haussa na giełdach papierów wartościowych i obniżka stopy procentowej, a także wzmożona fala strajków ekonomicznych. Przyczyny zaś powyższych są następujące: wyczerpywanie się „stock'ów", zahamowanie procesów tezauryzacyjnych i stopniowe przełamywanie się kryzysu zaufania. I o ile pierwszy moment jest jeszcze stosunkowo słaby, gdyż niema dotąd objektywnych powodów radykalnej poprawy rynku surowcowego, o tyle dwa następne momenty — czysto zresztą irracjonalne — z dniem każdym nabierają na siłach.

Głębokość i rozmiar współczesnej depresji gospodarczej, jakich dotychczas nie zanotowano w historji świata, jako też jej skomplikowany charakter, związany ściśle zarówno z chaosem poza-gospodarczym, jak i z nastrojami, wymierzonemi zupełnie wyraźnie przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu — wszystko to każe sceptycznie przyjmować wiadomości o odwróceniu się psychiki „homo oeconomicus" od skrajnego pesymizmu do umiarkowanego nawet optymizmu. Za sceptycznem traktowaniem wiadomości o zwyżce cen i walorów, którą to zwyżkę zapoczątkowały Stany Zjednoczone, przemawia dosyć ważna okoliczność, iż zwyżka ta zbiega się z wyborami prezydenta tychże Stanów. Sceptycyzm opiera się również na presumcji, iż nie usunięte jeszcze zostały przeszkody, tamujące swobodne przebicie się gospodarki na spokojne wody, poprawy i ożywienia; nie zniesiono ani nie ograniczono autarchicznych zarządzeń walutowych i towarowych, nie uczyniono nic w kierunku skasowania ograniczeń, utrudnień i zakazów w międzypaństwowym obrocie ludźmi, towarem i kapitałami, nie usunięto całkowicie nadmiaru ciężarów, spadających na barki produkcji, nie sprowadzono nakoniec wszystkich elementów życia gospodarczego do wspólnego mianownika, niższego aniżeli przed kryzysem poziomu cen i kosztów.

Mimo to dalecy jesteśmy od lekceważenia symptomów poprawy w psychicznem nastawieniu warstwy inwestorów. Konferencja w Lozannie, pomyślny rezultat konwersji War Loan, przebieg redeflacji, w Stanach Zjednoczonych, opanowanie przez rząd v. Papena niebezpieczeństwa walki domowej w Niemczech, ostatnio ogłoszony program gospodarczy rządu niemieckiego, załagodzenie tarć pomiędzy Polską a W. M. Gdańskiem: oto exempli modo powody, wystarczające do wywołania i podtrzymania zwyżki papierów wartościowych z jednej, a do zahamowania odpływu złota i dewiz z instytucyj emisyjnych z drugiej strony.

Jest przytem rzeczą charakterystyczną, że optymizm i poprawa, o których mowa, opierają się w znacznym stopniu na redeflacyjnej polityce pieniężno - kredytowej, zapoczątkowanej przez Stany Zjednoczone, a naśladowanej w zmienionej formie przez szereg państw europejskich. Świeżo opublikowany plan emisji bonów podatkowych w Niemczech, zatrudnienia bezrobotnych i rozpoczęcia in-

westycyj przemysłowych bazuje się na wierze w rychłą i wydatną poprawę konjunktury, do której rząd Rzeszy chce nawiązać przy pomocy radykalnej zmiany dotychczasowej polityki restrykcyjnej w dziedzinie pieniężnej. I o ile jeszcze przed paroma miesiącami taka zmiana w kierunku inflacjonistycznym byłaby posunięciem ryzykownem, powodującem niepokój a nawet panikę wkładców i inwestorów, o tyle dzisiaj inwestorzy i wkładcy bez obawy patrzą na wykazy sum obiegu pieniężnego i tracą chęć do tezauryzacji za wszelką cenę.

Polskie gospodarstwo narodowe, które nie przeżywało tak głębokich wstrząsów, jak gospodarstwa państw zachodnich, tem samem w powolniejszem tempie i w mniejszym zakresie będzie brało udział w optymizmie. Brak u nas momentów wyraźnie redeflacyjnych, o których jeszcze przedwcześnie mówić, również nie sprzyja silniejszej i trwalszej poprawie konjunktury.

ALEKSANDER K. IVANKA

PROGRAM GOSPODARCZY W POLSCE

Program gospodarczy trzeba rozpatrywać jako konglomerat trzech programów: strukturalnego, dynamicznego i statycznego.

Bodaj, że od chwili powstania Państwa Polskiego, a niewątpliwie od czasu pierwszej reformy monetarnej, mówi się w Polsce o potrzebie stworzenia w Polsce programu gospodarczego. Idea zawarta w słowach „program gospodarczy" ma bezmała to samo znaczenie emocjonalne, co przed stu laty dla romantyków hasło: „dalej z posad bryło świata, na nowe cię pchniemy tory". Zdaje mi się, że nie przesadzę, jeżeli powiem, że opinja publiczna wiąże z istnieniem programu gospodarczego jaknajdalej idące nadzieje: pomyślnego rozwoju gospodarczego kraju, postępów kapitalizacji, inwestycyj, wzrostu dobrobytu. Odwrotnie, z brakiem programu wiązane są okoliczności ujemne: wadliwość inwestycyj, obniżenie stopy życiowej, bezrobocie i... „wogóle kryzys".

Tęsknota za programem gospodarczym przejawiała się i przejawia w szeregu broszur i artykułów. Przed laty rozpisano nawet konkurs na pracę o programie gospodarczym, niejako w nadziei, iż wyłowi się z tego jakaś zwycięska „miss program", którą będzie można w triumfie zaprezentować rzeszom żądnym wiadomości. Oczywiście z tych wszystkich prac żaden syntetyczny program gospodarczy nie powstał, przybyło zato polskiej literaturze ekonomicznej szereg dzieł o poważnej wartości pozytywnej.

Tęsknota jednak nie mijała, zmieniła jedynie kierunek swego zainteresowania. Skoro, jak mniemano, nie można odrazu „prévoir", to w takim razie trzeba najpierw „savoir". Wzmógł się zakres prac analitycznych i badawczych nad strukturą gospodarstwa polskiego. Znów powstał szereg cennych prac, tem cenniejszych, że rozwiewających popularne polskie legendy gospodarcze, np. o wybitnej samowystarczalności zbożowej Polski, o bogactwie drzewostanu. Ale

„....mija jesień i zima,

a programu jak niema tak niema".

Tęsknota zaś wciąż skarżyła się i skarży na brak programu gospodarczego. Ostatnio nawet prasa codzienna zajmowała się tem zagadnieniem.

Pomijając jednak kwestje, czy gdy się mówi w Polsce o potrzebie istnienia programu gospodarczego, to ma się na myśli jednorodne zjawisko. Wydaje mi się, że nie.

Każdy program, każdy plan jest koordynacją pewnych zamierzeń, ułożonych według pewnej hierarchji celów, oczywiście w zasadzie w ramach istniejących możliwości. Ale zależnie od zamierzeń, plan taki może mieć charakter bardziej lub mniej zasadniczy, może sięgać głęboko w strukturę gospodarstwa społecznego lub też zajmować się tylko przejawami konjunkturalnemi. Tych różnic naogół się nie dostrzega i słowom „program gospodarczy" nadaje się jednakie znaczenie. W istocie tak nie jest.

Skłonny byłbym uważać, iż pojęcie „program gospodarczy" zawiera trzy odcienie, a tem samem trzy znaczenia. Może tu być mowa o:

1) zasadniczej przebudowie ustroju gospodarczego i społecznego (program strukturalny),
2) wytycznych rozwojowych gospodarstwa społecznego (program dynamiczny),
3) usuwanie przerostów i form niedorozwoju w ramach istniejącego ustroju gospodarczego (program statyczny).

Tak też, gdy w naszej literaturze ekonomicznej poruszane jest zagadnienie programu gospodarczego, to zależnie od zakresu zainteresowań piszącego omawiany jest jeden z trzech odcieni. Czasami powstaje pomięszanie pojęć i myśli, gdy np. programowi o charakterze strukturalnym jest przeciwstawiany program o charakterze dynamicznym. To nie są współrzędne a tem samem współmierne ujęcia i w razie dyskusji na ten temat spór jest prowadzony w stosunku do dwu różnych zagadnień.

Rozpatrzmy jednak co przedstawia każdy z poszczególnych programów.

Niewątpliwie najbardziej pasjonującym jest program strukturalny. Jego znaczenie zaostrzył obecny kryzys międzynarodowy.

Cóż jest treścią programów strukturalnych w Polsce? Najlapidarniej możnaby to ująć w sposób następujący: kryzys gospodarczy jest dowodem upadku kapitalizmu (jest to przesłanka o charakterze empirycznym), stąd wypływa wniosek, że należy przejść do gospodarstwa planowego.

Obawiam się, że gdybyśmy zestawiali programy strukturalne w ich tekstach szczegółowych, niewiele co więcej ponad to bardzo lapidarne ujęcie byśmy

otrzymali. Programy strukturalne cechuje mglistość. Mówi się o kontroli produkcji, uspołecznianiu warsztatów pracy i t. d., wszystko to jednak może być raczej zaklasyfikowane do tendencyj, aniżeli do przejawów konkretnego planu. Niewątpliwie słabą metodologicznie jest również przesłanka, iż kapitalizm upada. Nosi ona charakter empiryczny, t. j. sformułowanej obserwacji, iż w obecnym ustroju gospodarczym — kapitalistycznym — istnieje przewlekły kryzys gospodarczy i zachodzą jaskrawe sprzeczności gospodarcze: nadmiar zbóż i głodni ludzie, wielkie potrzeby, nadmiar kapitałów i bezrobocie i t. d., i t. d. Nie bierze się pod uwagę okoliczności, iż pewne jaskrawe formy kryzysu są wynikiem międzynarodowego interwencjonizmu, będącego sui generis planowością gospodarczą, jak waloryzacja kawy, popieranie rolnictwa w Stanach Zjednoczonych i t. d.

To też programy strukturalne mało dały gospodarstwu polskiemu. Złożyły się na to dwie przyczyny: uprzednio wspomniana mglistość programów i ich poniekąd międzynarodowy charakter, wytwarzający pewien dystans pomiędzy programowem sformułowaniem teoretycznem a polską rzeczywistością gospodarczą.

W jednej dziedzinie istnieje jednak pozytywna wartość, i to niewątpliwie wysoka, prób tworzenia programów strukturalnych. Jest to sam proces szukania, proces zawsze twórczy.

Mniejsze znaczenie w zakresie napięcia emocjonalnego, zato większą wagę dla kwestyj praktycznych, posiada zagadnienie programu dynamicznego. W toku dyskusyj ekonomicznych amplituda poglądów została zwężona i nie dyskutuje się już obecnie nad problemem: Polska rolnicza czy przemysłowa. Fakt dużej gęstości ludności na kilometr kwadratowy oraz duży odsetek ludności zatrudnionej w rolnictwie zwęził poglądy do tezy, iż Polska musi być krajem rolniczym i przemysłowym, przyczem ze względu na duży przyrost naturalny musi dążyć do industrjalizacji. Ta ostatnia ponieważ rozwijać się może przy obfitości kapitałów stwarza przeto wymóg dużego tempa akumulacji kapitału w Polsce. W ten sposób wytworzyła się najbardziej ogólna teza programu dynamicznego, powstają atoli w związku z tem dalsze kwestje, jakie dziedziny przemysłu mają rozwijać się lub mają być rozwijane, w jakich gałęziach i warstwach gospodarstwa społecznego ma się odbywać akumulacja kapitału.

Mam wątpliwości czy na tego rodzaju szczegółowe pytania, dotyczące programu dynamicznego, można odpowiedzieć. Procesy rozwojowe poszczególnych gałęzi życia gospodarczego są pochodną rentowności — sztucznej lub naturalnej, t. zn. przy istnieniu wolnej konkurencji. Jest rzeczą zrozumiałą, że rentowność sztucznie utrzymywana odbywa się kosztem przewłaszczania dochodu społecznego z innych gałęzi, to też zjawisko sztucznej rentowności musi się ograniczyć do bardzo nielicznych wypadków, gros zjawisk będzie się opierać o zjawisko rentowności naturalnej. Falowanie zaś rentowności naturalnej jako takie jest wynikiem kształtowania się konjunktur międzynarodowych i przewidzieć się nie da. Poprawa konjunktury i wzrost zbytu w Rosji wywołuje ożywienie w naszym przemyśle i to tym, który raczej jest pozbawionym t. zw. naturalnych podstaw — własnej bazy surowcowej (hutnictwo, przemysł włókienniczy), ożywienie w przemyśle niemieckim wywołuje odwrotnie wzrost zbytu polskich artykułów rolnych. Dynamika zjawisk gospodarczych w Polsce będzie raczej kształtowała się samorzutnie, pod wpływem automatyzmu procesów gospodarczych — falowania rentowności, aniżeli pod wpływem tych czy innych sformułowań programu gospodarczego.

Można tu jednak zrobić uwagę, iż właściwem jest dążenie do rozwoju wytwórczości i przetwórstwa surowców produkowanych w Polsce, przedewszystkiem przez racjonalizację i obniżkę kosztów produkcji. Tak jest. Teza obniżania kosztów produkcji ma charakter bezsporny, więcej, ma teren uniwersalny, a przeto jako taka nie wchodzi w skład programu dynamicznego, natomiast stanowi składową część trzeciego odcienia programu gospodarczego — programu statycznego. W kolorystyce odcieni programów gospodarczych program statyczny jest najbardziej szary i tak jak kolor szary najbardziej praktyczny. Tak jest. Jest to najbardziej w naszych warunkach potrzebny program, a jednocześnie najmniej przez ogół oceniany. Program statyczny nie zawiera ani barwności i majestatu programu strukturalnego, ani nęcących perspektyw programu dynamicznego, ma on być poprostu uporządkowaniem tego, co się samorzutnie lub naskutek polityki zaborców wytworzyło w gospodarstwie polskiem pod trzema zaborami w ciągu XIX wieku, powodując warunki niejednolitego rozwoju — dysproporcje gospodarcze.

Dysproporcje te są znaczne i to nietylko ilościowe, ale i jakościowe. Dysproporcje ilościowe są znane, a więc różnica spożycia cukru na kresach wschodnich i w woj. Poznańskiem, różnice w gęstości sieci komunikacyjnej w poszczególnych województwach t. d. i t. d. Chodzi jednak i o różnice jakościowe. Posługując się klasyfikacją Sombarta, który dzieli rozwój gospodarczy współczesny na okres wczesno-wysoko- i późnokapitalistyczny (Früh-, Hoch- und Spätkapitalismus) możemy określić, iż w gospodarstwie społecznem Polski bytują współcześnie wszystkie trzy formy: wczesno-, wysoko- i późnokapitalistyczna. Tak np. handel produktami rolnemi, przemysł młynarski w województwach centralnych i wschodnich, przemysł garbarski będą przedstawiać formy wczesnokapitalistyczne, przemysł włókienniczy formę wysokokapitalistyczną, a hutnictwo formę późnokapitalistyczną. Wyrównanie tych poziomów, przejście tych gałęzi z formy wczesnokapitalistycznej do formy wysokokapitalistycznej stanowi cel mieszczący się w ramach programu statycznego. Szczególnie ważne zagadnienie stanowi tu stworzenie w Polsce rynku wymiennego, t. j. sprawnie działającego mechanizmu wymiany wewnętrznej. Patologja kształtowania się cen detalicznych w Polsce jest faktem, a wyniki badań Komisji Ankietowej np. w zakresie handlu zbożem przypomniały stosunki rynku zbożowego Królestwa Kongresowego z czasu tworzenia Banku Polskiego, t. j. z przed lat stu.

Do programu statycznego zaliczyć należy prowadzoną z powodzeniem akcję komasacji gruntów rolnych, meljoracje, budowę dróg, elektryfikację. Do programu statycznego zaliczyć należy zagadnienie rewizji obciążenia gospodarstwa społecznego daninami publicznemi, wreszcie akcję obniżania kosztów produkcji.

Poszczególne te cele, łącząc się w całość, w program gospodarczy, stworzyć muszą właściwą proporcję

między sobą, stwarzając tem właściwe kryterjum dla interwencjonizmu. I tu leży waga i znaczenie programu statycznego. Jest bowiem rzeczą oczywistą, iż w drodze automatyzmu procesów gospodarczych nie zdoła gospodarstwo społeczne w szybkim czasie dokonać zniwelowania istniejących różnic i podnieść ogólny poziom. Podobnie jak w krajach Europy zachodniej (zwłaszcza w okresie wczesnego kapitalizmu) interwencjonizm i u nas przyśpieszać musi rozwój gospodarczy, a wypełnianie programu statycznego stanowi jego najwdzięczniejsze zadanie.

Byłoby w tej dziedzinie jedno zagadnienie szczególnie ważne do przeanalizowania — w jakiej mierze mógłby wypełnić zadania programu statycznego automatyzm procesów gospodarczych, a w jakim stopniu musiałby się tego podjąć interwencjonizm. Musiałaby to być jednak praca oparta przedewszystkiem na badaniach polskiej rzeczywistości gospodarczej, a nie klasyfikująca z punktu widzenia czysto teoretycznego, gdyż jak wiadomo, „szarą jest każda teorja, a tylko wieczyście zielonem złote drzewo życia".

T. AUGUSTYN

ODPOWIEDŹ NA ZARZUTY

Kontrola prewencyjna powinna być ceną interwencji.

W „Kurjerze Poznańskim" z dnia 26.VIII znalazłem wzmiankę pana M. K. dość bałamutną o moim artykule w Nr. 14 — 15 „Gospodarki Narodowej".

Z cytowanych urywków widać, że p. M. K. część artykułu przeczytał. Z wniosków zaś — że nie doczytał reszty. Prosimy go o przeczytanie więc następujących ustępów:

„Niema na nią (kontrolę prewencyjną) miejsca w fazie indywidualnej. Tam nie należy obciążać kierownictwa ciężkim aparatem kontroli".

„Kontrola prewencyjna jest konieczną tam, i jedynie tam, gdzie automatyzm zjawisk gospodarczych nie działa lub działa z wielkiem opóźnieniem" i następne.

Cytuje p. M. K. przedostatnie zdanie przedostatniego ustępu na str. 213, ale przezornie opuszcza następne, które tu pozwalam sobie dla pełności myśli powtórzyć: „Ten więc organ (B. G. K.) powinien być uzbrojony przeciw nieograniczonej chłonności wołających o ratunek placówek".

Bałamuctwem nazywa p. M. K. wołanie o ochronę budżetu Państwa przed nieopatrzną interwencją. Z faktu bezplanowego ratowania rozmaitych placówek w imię różnych celów wyciąga p. M. K. wniosek, że wprowadzenie w te poczynania porządku i ładu dyskwalifikuje: kogo? ten organ, który nolens-volens wykonywał polecenie rządu? czy może tych, co chcieli swe długi na państwo przerzucić?

Nie raz jeden państwa ratowały przedsiębiorstwa prywatne.

Opis, jakim kosztem skarb brytyjski ratował w XVIII wieku uprzywilejowaną kompanję Wschodnio-Indyjską, znajdzie czytelnik w V księdze, rozdział I Bogactwa Narodów Adama Smitha. Tamże opinja, jaką ojciec liberalizmu gospodarczego miał o przywilejach udzielanych przemysłowi. Coprawda w sto lat później W. Brytanja dzięki istnieniu wspomnianej kampanji uzyskała panowanie nad Indjanami. Nad jakim krajem zyska panowanie Polska, „ratując" przyrosty inwestycyjne rodzimego przemysłu — nie wiadomo.

Stosunek państwa do przemysłu może być dwojaki: albo się państwo nie wtrąca do spraw przemysłowych scil. nie ratuje, albo ratuje, a więc się wtrąca, aby się zabezpieczyć przed powtórzeniem podobnie kosztownego doświadczenia z innem przedsiębiorstwem. Tertium non datur, a raczej tertium — to pasożytnictwo przemysłu na państwie.

Koszt interwencji jest, niestety, mimo wszystkie zwroty retoryczne p. M. K., faktem dokonanym. Czy z sum budżetowych, czy pozabudżetowych, Państwo Polskie *już zapłaciło* za szereg popełnianych od *kilkunastu* lat omyłek, niekontrolowanych przez nikogo i nieuzgadnianych pomiędzy sobą poczynań przemysłowych.

Temu nieszczęściu (aby gorzej nie powiedzieć) trzeba położyć kres. Trzeba te poczynania uzgadniać. Pan M. K. grozi, że kapitał zagraniczny przestraszy się tego uzgadniania. Wobec takiej tezy: przykładzik, nie polski, lecz o miedzę.

W 1924 r. jedno z przedsiębiorstw handlowych niemieckich (nomina sunt odiosa — gdyż ludzie ci żyją) otrzymało propozycję importu pewnego surowca przemysłowego, w który od pół wieku zgórą zaopatrywało prawie cały przemysł hutniczy. Tranzakcja była możliwa przy stałem umieszczeniu w towarze kilku miljonów marek, któremi, mimo kryzysu stabilizacyjnego, firma wówczas dysponowała. Zmusiłoby to jednak jej odbiorców, których finansowała częściowo do owego czasu, ażeby więcej niż uprzednio korzystali z kredytu w Banku Rzeszy. Przed zakończeniem tranzakcji — kierownik firmy zwrócił się do prezesa Banku Rzeszy z zapytaniem, czy tego rodzaju inwestycja kapitału niemieckiego nie pokrzyżuje jego projektów — i zawarł umowę dopiero po uzyskaniu aprobaty kierownika instytucji emisyjnej.

Przykład ten świadczy, że można uzgadniać swoje prywatne interesy z interesami kraju, że trzeba jednak mieć pewną dozę dyscypliny społecznej i zrozumienia, że działalność gospodarcza to nie ściąganie cudzych wartości dla siebie, ale stwarzanie nowych wartości dla wszystkich.

A może p. M. K. z naszych rodzimych, nawet poznańskich stosunków przypomni sobie, jak kapitał zagraniczny reagował na poddanie w 1925 r. cukrownictwa pod tak ścisłą kontrolę rządu, jakiej może żadna inna grupa przemysłu nie podlega? Argument ucieczki kapitału zagranicznego jest właśnie bałamuctwem.

Ze wszystkich metod i sposobów zorganizowania kontroli, podanych przezemnie, p. M. K. zauważył

tylko jeden, najbardziej biurokratyczny. Inne pominął milczeniem.

Czy mam uważać za zarzut skierowany przeciw mnie, że szeregu ewentualnych rozwiązań zagadnienia p. M. K. nie dostrzegł?

Inne i inaczej zredagowane zarzuty stawia mi p. Meyer w tymże numerze „Gospodarki Narodowej". Już sam tytuł jego odpowiedzi mógłbym uważać za złośliwość wobec człowieka, który nie pracował w przemyśle i zna go z obserwacji.

Zarzut zrastania się kontroli i dyspozycji jest trudniejszy do obalenia, niżby się pozornie zdawało. Ale nie usuwa on zagadnienia, które brzmi: nieskoordynowane poczynania przemysłu prowadzą do strat; dopóki straty są małe, albo upadek przedsiębiorstwa nie zagraża poważnem zaburzeniem życiu gospodarczemu kraju, póty interwencja Państwa jest zbędna. Ale *kiedy za błędy prywatno-gospodarczych posunięć odpowiadać ma ludność kraju, wówczas zapobieganie tym błędom staje się koniecznością państwową.*

Jeżeli kontrola prewencyjna inicjatywy inwestycyjnej (prywatnej lub państwowej) ma być równoznaczną z poddaniem wszelkiego kierownictwa wyższej dyspozycji, to trzeba tylko zakres tej dyspozycji określić. Absolutna swoboda kierownictwa prywatnego nie istnieje ani w dziedzinie płacy, ani w dziedzinie bezpieczeństwa pracy, ani w dziedzinie formowania cen. Ograniczenie jej w dziedzinie unieruchomienia kapitału, którego posiadamy w Polsce być może mniej, aniżeli przez 15 lat zainwestowaliśmy, może być przykre dla p. Meyera i jemu bliskich, ale dla gospodarstwa narodowego może się okazać zbawiennem.

Celem gospodarki narodu jest dobrobyt, a ten osiągnąć można tylko przez *wzrost kapitału własnego*. A więc nie drogą oglądania się, jak p. M. K., na kapitał cudzy, i nie ucieczką w horacjuszowski kwietyzm i „badanie zjawisk przyrody", jak p. Meyer, ale stosowaniem własnym wysiłkiem takich zabiegów, na jakie nas stać. Musimy zwalczać zło, które nam grozi, musimy pomagać narastaniu kapitałów własnych, musimy usuwać braki dnia dzisiejszego, choćby ten wysiłek objawiał się w formach nowych, oryginalnych i pozornie paradoksalnych. Nie tak bardzo zresztą nowych ani oryginalnych — co mi wyraźnie jako błąd, a mojem zdaniem, jako pochwałę poczytywano.

W imię jakich kryterjów ma kontrola działać? — pyta p. Meyer. W imię nie marnowania kapitału. W imię unikania tego, co p. Smith nazywa „overtrading" — w imię nie niszczenia instalacyj, które mogą pracować, a nie są zamortyzowane, w imię nie rozpoczynania prac, które rentować się mogą tylko kosztem cudzej nędzy, w imię unikania takich instalacyj, jak słynna wśród pewnej grupy przemysłowców „mechanizacja" z 1927-28 roku, gdzie koszt oprocentowania przerastał oszczędności na robociznie.

W imię, słowem, zasad, których się trzyma każdy rozsądny przemysłowiec fazy indywidualnej. Ale ponieważ zasady te zostały przez organy zastępcze faz następnych zaniedbane i pominięte, ponieważ sprawy „prestige'u", „znaczenia", „ciężaru gatunkowego" firm i „dyrektorów" przerosły zagadnienia rentowności, a bezsilny akcjonarjusz, o ile jeszcze było to indywiduum, a nie firma, nie mógł kierownictwu przypomnieć tych zasad, więc napomnienie przyjść musi od tego, do kogo w popłochu cała falanga „prestige'owców" zwraca się o ratunek. Tu wracam do założenia: *kontrola prewencyjna ma być ceną interwencji*. Kto się umie rządzić, kto o interwencję nie prosi — ten godzien jest kontroli nie podlegać.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

NIE SKREŚLAĆ POZYCYJ NIEOBLICZALNYCH

Stosunek mas do wielkich zagadnień gospodarczych musi z konieczności zawierać elementy emocjonalne. O ile elementy te nie ulegają nadmiernej egzageracji, to odwoływanie się do nich jest pożyteczne, ponieważ zwiększa napięcie woli i nie pozwala spychać sprawę z porządku dziennego.

Panu Antoniemu Wiązowi nie podobało się, że w naszej literaturze pięknej, publicystycznej i gospodarczej ukazał się ostatnio szereg publikacyj, oceniających ujemnie rolę kapitału zagranicznego w Polsce. Pan A. W. jest poprostu oburzony. Nie dlatego bynajmniej, żeby rolę tego kapitału uważał za dodatnią pod każdym względem, nie, chodzi mu tylko o to, że wystąpienia krytykowane przez niego odwołują się do sentymentu narodowego i czynią to widocznie skutecznie skoro działają na samego krytyka wzbudzają „przygnębiające uczucie własnej bezsiły", a zatem pozbawiają go spokojnego zadowolenia z siebie i z tego co się dzieje na tym „najlepszym ze światów".

I p. A. W. usiłuje przekonać wszystkich piszących w tej materji, że ich zajęcie jest zupełnie bezpożyteczne, a przedewszystkiem, że nie może służyć za temat do rozważań zupełnie nie gospodarczych Działanie jednak na niego artykułów p. Hulki Laskowskiego, które wywołały w nim uczucie bezsiły, jest jednak widocznie tak mocne, że argumenty p. A. W. są kompletnie bezsilne. Cały polemiczny artykuł pt. „Palce w butach i pięści", czyni wrażenie nieco zbyt silnej obrony przed widmem, w które rzuca się wszystkiem, co tylko trafi pod rękę. W konsekwencji cały wspomniany artykuł nie stanowi całości a jest tylko zbiorem argumentów, któremi poniżej zajmiemy się.

Zacznijmy od zdumionego pytania: dlaczego zagadnienia gospodarcze nie mogą być tematem literackich i publicystycznych wystąpień? Życie narodu przecież tworzy tak organiczną całość, że nie podobna go porozdzielać na tematy oddzielne dla każdej gałęzi sztuki czy wiedzy. Ponadto każde zagadnienie gospodarcze jest również zagadnieniem politycznem, kulturalnem i moralnem i powinno być oświetlane

ze wszystkich stron, gdyż tylko synteza wszelkich możliwych punktów widzenia może stworzyć dostateczną podstawę do wniosków i rozstrzygnięć. Dalej autor przekonywuje nas, że nawet słuszna i rzeczowa krytyka działalności zagranicznego kapitału nic nie pomoże, o ile ten kapitał jest Polsce potrzebny, ponieważ „rozstrzyga tutaj interes kapitalisty i siła danego organizmu państwowego". Ale jak ta siła ma się ujawniać? czy bez krytyki, bez słownych i pisanych argumentów, bez oparcia się o opinje publiczną, która jest jednym z podstawowych elementów siły każdego organizmu społecznego, a przedewszystkiem każdego rządu? Interwencjonizmowi państwa p. A. W. wyznacza rolę tylko ograniczenia dopływu obcych kapitałów, jeśli jest zbyt wielki, jak był w Niemczech, słusznie jednak później zauważa, że o tem ograniczeniu powinni byli pomyśleć raczej wierzyciele. dłużnik, jak się okazało może bowiem zwyczajnie nie zapłacić swych zobowiązań. Lecz nie w tem rzecz. Państwo zatem niema nic do powiedzenia, odnośnie działalności kapitału zagranicznego, który się już w kraju ulokował. „Jeśli (ten kapitał) nas wyzyskuje to dla tego, że dajemy się wyzyskiwać. Jeśli dajemy się to (prawdopodobnie) musimy się dawać. Taka jest logika faktów"... Kapitał zagraniczny może za tem znęcać się nad robotnikami, nie stosować się do krajowych ustaw itd. bo to jest przecież tylko normalną „funkcją braku reakcji". Jeśli zaś nastąpi reakcja w postaci rewolwerowej kuli co nie jest pożądane, lub gwałtownych wystąpień prasowych budzących opinję publiczną i uświadamiających masy o istniejącym stanie rzeczy, to będzie to zupełnie niepotrzebne, gdyż wzbudza w niektórych wrażliwych ludziach „przygnębienie własnej bezsiły". To jest logika p. Antoniego Wiąza. Ale czy niema czasem i takich, w których owe artykuły p. Hulki-Laskowskiego wzbudzą poczucie siły?

Zastrzec się tu muszę, że p. A. W., ani rewolwerowej kuli, ani wystąpień publicystycznych za reakcję nie uważa, ale i nie tłumaczy co według niego ma być tą reakcją. Czy naprzykład wszelkie wystąpienia prawne związane ze strajkiem konsumentów prądu elektrycznego (też kapitał zagraniczny) nie są reakcją i są bezpożyteczne? Czyż rzeczywiście autor sądzi, że, jeśli istnieją pewne, objektywne warunki do powstawania zjawisk moralnie oburzających, to nie należy ujawniać swego moralnego oburzenia? Przebrnąwszy jednak przez ten las argumentów, których zupełnie nie pojmujemy, dochodzimy do najsłuszniejszych w świecie konkluzji, że „trzeba się stać odpowiednio silnym i zwartym w sobie samym partnerem dla kapitału zagranicznego, a nadużycia ustaną odrazu". Tu odrazu powstaje pytanie, jak do tego dojść. Pan A. W. w tym miejscu również najzupełniej słusznie upomina się o należytą ocenę smutnego targowania się o każdy drobiazg, o wyrywanie drobnych ustępstw itd., aż do czasu podniesienia się do takiego poziomu, na którym będziemy rozmawiać z zagranicą, jak równy z równym. Jest to jednak wskazanie tylko techniki i taktyki pracy negocjatorów, ale, żeby ta taktyka okazała się w pełni skuteczna, należy mieć jeszcze szeroki plan strategiczny. Plan taki może powstać oczywiście, tylko na gruncie chłodnej, realistycznej oceny sytuacji gospodarczej, ale równoczesna akcja publicystyczna w tej sprawie, stwarzająca pewien stan napięcia emocjonalnego, nie tylko wtedy nie przeszkadza, ale odwrotnie nieraz bardzo pomaga, bo podnieca energję, nie pozwala o sprawie zapomnieć i daje owym żmudnie targującym się negocjatorom, niezwykle cenne poczucie, że nie są sami. Zgadzam się, że nadmierne podrażnienie opinji publicznej nieraz może także i przeszkadzać, ale trudno, skoro się stoi na gruncie realnej rzeczywistości, to trzeba pamiętać, że społeczeństwo jest zasadniczo faktem emocjonalnym, i że nie co innego, ale właśnie zbiorowa psychika emocjonalna jest podstawą, i najważniejszym elementem składowym wszelkiej polityki. Ten kto przypuszcza, że w życiu można kierować się tylko zimnym wyrachowaniem jest równie fantastą, jak ten co swe postępowanie, chce oprzeć tylko na pobudkach czysto idealistycznych. W sprawie stosunku do roli kapitału zagranicznego w Polsce pod wpływem różnych rosnących faktów, przemówił po przez usta literatów i publicystów, głęboko zakorzeniony instynkt plemienny, a ludzie trzeźwego rachunku i ścisłych liczb powinni wiedzieć, że jest to wielka niewiadoma, której pomijać w żadnych rachubach i kalkulacjach niewolno, chociaż niepodobna ją obliczyć.

Przejdźmy teraz do argumentów ściśle ekonomicznych, tłumaczących niepożądane cechy polityki kapitału zagranicznego w Polsce. „Kapitalista chce możliwie pewnie i korzystnie lokować swoje pieniadze. Czasami, godzi się na mniejszą pewność, ale odbija to sobie w stopie procentowej. O ile ma absolutna pewność rezygnuje z wygórowanych zysków". Wszystko to jest zupełnie słuszne z tem zastrzeżeniem, że pewność lub nie pewność określa się subjektywną oceną kapitalisty. Ci co pożyczali Niemcom byli bardzo pewni i zawiedli się. „Nie jest to wina automatyzmu gospodarczego, tylko mózgów amerykańskich" pisze p. A. W. Z tąż samą słusznością można powiedzieć, że niechęć kapitału zagranicznego do Polski i rabunkowa gospodarka tych kapitałów na naszym terenie jest winą również, nie automatyzmu gospodarczego, lecz mózgów francuskich, belgijskich i innych kapitalistów. Spotkałem się, gdzieś z takim określeniem, że kapitały zagraniczne do nas nie idą, ponieważ Polska nie jest jeszcze w pojęciu kapitalistów, dostatecznie europejska, ale jest już za mało egzotyczna, żeby w niej można było postępować tak jak w Kamerunie. Źle jest oczywiście, że trzymają się jeszcze pierwszego wniosku, ale dobrze przynajmniej, że doszli do drugiego.

Tych zaś co jeszcze do tego drugiego nie doszli, nie należy wpuszczać, a jeśli już weszli, to trzeba im to energicznie wyperswadować, lub wyprosić. Odruch emocjonalny? Być może, ale są odruchy emocjonalne, które po głębokiem zbadaniu okazuja się tak rozumowo uzasadnione, jak żadna konstrukcja myślowa, ściśle racjonalna. I ten jest właśnie, takim — odruchu tego wymaga nasza racja stanu, nasza przyszłość jako narodu i państwa.

Koncepcja p. Diamanda wydaje mi się słuszna pod tym katem widzenia, że aczkolwiek bezwzględnie potrzebujemy dopływu kapitałów zagranicznych, ale nie w każdej gałęzi życia gospodarczego i nie na każdych warunkach.

Pogląd ten uzasadniam faktem, że ruch kapitałów nie jest obecnie swobodnym, a zatem i nie może być liberalnie traktowany przez państwo. Kapitał dzisiejszy jest w lwiej części skartelizowany i często osiada w jakimś kraju nie poto, żeby rozwijać tam produkcję, ale poto, żeby ją ograniczać. Pozatem

posiada on w porównaniu z dawnym liberalnie cyrkulującym kapitałem jedną wielką wadę: nie daje się państwu asymilować i pozostaje wykładnikiem obcych interesów i obcej racji stanu, nie dla tego, że jest narodowościowo obcy, ale dla tego, że jest nikłą cząstką jakiejś wielkiej organizacji, której siła i powodzenie zależy od innych rynków zbytu.

Fakt osiadania w Polsce ongiś zagranicznego kapitalisty z całym swym kapitałem w istocie swej i skutkach różni się zasadniczo od dzisiejszej formy przypływu kapitałów zagranicznych, jaką jest założenie filji zagranicznego kartelu. Wtedy osiadał kapitalista osobiście, kiedy miał wszelkie dane, żeby zżyć się z krajem i ludnością. Cudzoziemskie nazwiska wielu naszych zasłużonych działaczy gospodarczych i przemysłowców dobitnie o tem świadczą. Taka immigracja kapitałów wzbogacała kraj. Jeśli chodzi o filję zagranicznego kartelu, to przyczynia się ona do wzbogacania kraju w mniejszym stopniu, lub nawet nie przyczynia się wcale. Ujawnić i zbadać takie fakty au fond jest rzeczą niemożliwą. Ale różne sztuczki i sposoby wywożenia dochodu z kraju, w którym on się wytwarza są znane. Pozatem znane są przykłady działalności gospodarczej i ulepszeń technicznych, które nie stwarzają nowego dochodu a tylko powodują przesunięcia się dochodów z jednych jednostek gospodarczych do drugich. O ile w ten właśnie sposób pracują przedsiębiorstwa zagraniczne, to działalność ich jest tylko szkodliwą, ponieważ niweczy wewnętrzną kapitalizację.

Sądzę, że do zagadnienia kapitałów zagranicznych należy podchodzić głównie pod kątem widzenia procesów wewnętrznej kapitalizacji, od powodzenia której zależy nasza przyszłość gospodarcza. Eksploatacja robotników z punktu widzenia czysto ekonomicznego nie jest szkodliwa, jeżeli powoduje szybki wzrost kapitałów, co w konsekwencji prowadzi do złagodzenia wyzysku i wzrostu ogólnego dobrobytu. Przyciąganie kapitałów zagranicznych, które by procesów kapitalizacyjnych nie wzmagały, w znacznym stopniu chybia celu. Ich znaczenie dodatnie ogranicza się wtedy tylko do powiększania produkcji brutto i wzrostu stanu zatrudnienia. Ale wtedy w interesie gospodarstwa narodowego jako całości jest możliwie niska cena produktów, możliwie wysoki zarobek i świadczenia socjalne (kapitalizacja przez ubezpieczenia), oraz możliwie mała stopa zysku—tylko, żeby nie powodowała ucieczki kapitałów. W tych warunkach jednak nasza kapitalizacja musi opierać się na drobnym ciułaczu, bo kapitalizacja w filjach zagranicznych karteli odbywa się kosztem, ale nie na rzecz polskiego gospodarstwa narodowego. Trudno żądać, żeby w takiej sprawie sentymenty narodowe nie zabierały głosu. I nie należy żądać.

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

PRÓBA REKONSTRUKCJI POMYŚLNEJ KONJUNKTURY

W chwili obecnej w gospodarce światowej istnieją pewne oznaki poprawy, obok dalszych przejawów kryzysu. Powodzenie akcji rekonstrukcji pomyślnej konjunktury w Stanach Zjednoczonych zależeć będzie w głównej mierze od sposobów działania, jakie wybiorą jej kierownicy. Największe niebezpieczeństwo dla planu rekonstrukcyjnego stanowi niepomyślna sytuacja w rolnictwie.

Z za oceanu idzie ku nam szeroka fala optymizmu. Każdy niemal dzień przynosi wiadomości o rosnącem ożywieniu na giełdach światowych, o poprawie cen surowców. Wydaje się, jakby jakaś smuga światła wdarła się nagle do mroków skołatanego kryzysem świata.

Czy weszliśmy w okres ożywienia konjunkturalnego?

Niewątpliwie zaczątków nowych tendencyj w życiu gospodarczem świata szukać musimy w planie rekonstrukcyjnym Hoovera. Podstawą tego planu jest Reconstruction Finance Corporation. Olbrzymie to przedsiębiorstwo stworzone zostało specjalnie w celu prowadzenia akcji interwencyjnej w kierunku wywołania ożywienia konjunkturalnego. Glass - Steagall Banking Acts umożliwiają tak Bankom Rezerwy Federalnej, jak i bankom prywatnym współdziałanie z Reconstruction Finance Corporation. W ten sposób powstały ramy do planowej akcji ożywienia konjunktury zakrojonej na rozmiary nieznane dotąd w historji gospodarczej świata. Jest rzeczą jasną, że od rezultatów tej akcji zależeć będzie w najbliższym czasie układ stosunków gospodarczych, nietylko w Stanach Zjednoczonych, lecz na całym niemal świecie. Jakie więc będą rezultaty działania Reconstruction Finance Corporation? Na to nie może dziś odpowiedzieć jeszcze nikt — nie wyłączając dyrektorów tej instytucji. Jedyną rzeczą, jaką da się zrobić dla oceny tej akcji, jest ustalenie warunków, w jakich została rozpoczęta i w jakich jest prowadzona.

Z układu tych stosunków, w zależności od zapatrywań, jakie czynniki należy uważać za decydujące w kształtowaniu się faz konjunkturalnych, wysnuwać można wnioski optymistyczne lub pesymistyczne, co do widoków odbudowy „prosperity“ w Stanach Zjednoczonych.

Najważniejszym czynnikiem w całej akcji rekonstrukcyjnej jest *czas*. Zarówno czas rozpoczęcia akcji, jak i jej trwania. Wydaje się nie podlegać żadnym wątpliwościom okoliczność, iż czas rozpoczęcia akcji wybrany został ze względów politycznych. Prezydent Hoover, wybrany cztery lata temu w okresie największej „prosperity“ nie mógł stanąć na nowo przed wyborcami, jako żywy symbol największego kryzysu gospodarczego, jaki Stany Zjednoczone Ameryki Północnej kiedykolwiek dotknął. Trze-

ba bowiem wziąć pod uwagę okoliczność (o której się zresztą ostatnio dużo pisze), że dla przeciętnego amerykanina niski poziom cen całego szeregu artykułów i związany z nim niski kurs papierów wartościowych, nieruchomości, etc., jest wynikiem li tylko spekulacji na baiss'ę. Wszelkie objektywne warunki wywołujące kryzys uważane są za przyczyny drugorzędne. W tych wrunkach ze strony najszerszych mas płynie pod adresem Białego Domu żądanie czynnej walki ze spekulacją zniżkową, stanowiącą w opinji publicznej główną przyczynę zła. Na początku kadencji prez. Hoovera w 1929 r. rząd Stanów Zjednoczonych próbował przez udostępnienie dużej ilości kredytów dla celów spekulacji giełdowej przeciwdziałać spadkowi kursów. Akcja ta jednak załamała się całkowicie. Nie powiodły się również próby sztucznego podtrzymywania cen surowców. Bezpośrednim skutkiem tych posunięć był jedynie szereg dalszych perturbacji na rynkach towarowych i pieniężnych. Te nieudane próby nie stanowią dobrego prognostyku dla ostatnich poczynań Białego Domu.

Ostatnia akcja prez. Hoovera odróżnia się jednak przedewszystkiem tem od poprzednich, że w miarę możności obejmuje całe życie gospodarcze Stanów Zjednoczonych, podczas gdy poprzednie próby ograniczały się jedynie do stwarzania sztucznych warunków poprawy konjunkturalnej dla poszczególnych jego gałęzi. Pozatem poprzednie próby walki z kryzysem prowadzone były stosunkowo niewielkiemi środkami i bez odpowiedniego przygotowania. Plan rekonstrukcyjny Hoovera przygotowywany był długo i do dyspozycji Reconstruction Finance Corporation oddane zostały olbrzymie środki. O ile wreszcie ostatnio rozpoczęta akcja, tak jak i poprzednie, znalazła swój punkt wyjścia w sytuacji politycznej, to jednak czynniki natury gospodarczej są obecnie zasadniczo różne od analogicznych czynników przed dwoma czy trzema laty.

Badając przebieg kryzysu światowego nie możemy zapominać, iż wszelki ruch w życiu gospodarczem związany jest ściśle z pojęciem czasu. O ile nie istnieje właściwie pojęcie równowagi gospodarczej „jako takiej", to istnieje pojęcie zmian, odchyleń od pewnego poziomu życia gospodarczego, który dla celów praktycznych możemy przyjąć za stan równowagi. Im większe są te odchylenia od poziomu równowagi, im dłużej trwają, tem silniej wyzwalają się siły przeciwdziałające istniejącemu biegowi rzeczy, i spychające życie gospodarcze do poziomu zbliżonego do teoretycznego stanu równowagi. Na tej zasadzie oparte są teorje o cyklicznych wahaniach konjunkturalnych. Jeżeli kryzys przychodzi zwykle jako reakcja przeciwko układowi sił w życiu gospodarczem w okresie ożywienia konjunkturalnego, o tyle z równą słusznością możemy przyjąć, iż poprawa następuje w wyniku działania warunków wytworzonych w okresie recesji i depresji. Z tego punktu widzenia rozpatrując możliwości planu rekonstrukcyjnego Hoovera możemy mu przyznać większe widoki powodzenia, w porównaniu z wszelkiemi poczynaniami, jakie były czynione we wcześniejszych fazach kryzysu.

Drugiem pojęciem decydującem o przebiegu ruchów gospodarczych jest niewątpliwie pojęcie przestrzeni. Przy udoskonaleniu środków komunikacji, pomiędzy pojęciem czasu, a pojęciem przestrzeni w przebiegu kryzysu niema zasadniczo bezpośredniego związku. Związek ten jednak istnieje gdy weźmiemy pod uwagę okoliczność, iż przestrzeń objęta działaniem ruchów gospodarczych ma znaczny wpływ na ich elastyczność. Z reguły da się powiedzieć, że im większa jest przestrzeń objęta przez zmiany gospodarcze, tem większa jest prężność sił przeciwstawiających się tym zmianom. Pod tym względem akcja Hoovera ma do zwalczania więcej trudności, niżby je miała jeszcze przed rokiem. Protekcjonizm celny stwarza coraz więcej przeszkód działaniu automatyzmów gospodarczych, oddzielając coraz bardziej poszczególne obszary gospodarcze od siebie.

Plan Hoovera opiera się w znacznie większym stopniu na pojęciu czasu, niż na pojęciu przestrzeni działania. Rząd amerykański nie uczynił dotychczas nic, by przez środki pozostające do dyspozycji polityki handlowej rozszerzyć akcję rekonstrukcyjną poza Stany Zjednoczone. Natomiast we wszystkich deklaracjach kierowników tej akcji przebija wiara, że dzięki działaniu czasu cały szereg środków wprowadzenia ożywienia konjunkturalnego, które przedtem już zawiodły okażą się obecnie skuteczne. W miarę czasu trwania kryzysu zmniejszają się nagromadzone zapasy, niszczeją maszyny etc. Wskutek niskiego poziomu cen budzi się „drzemiący" popyt, co z kolei wpływa ożywiająco na zatrudnienie. W myśl teorji Spiethoffa, gdy istnieją objektywne warunki konieczne dla nadejścia okresu ożywienia, potrzebny jest tylko jakiś specjalny impuls, by to ożywienie wywołać. Tym impulsem mają być według programu Hoovera wszystkie wypróbowane już dotychczas (ze złym skutkiem!) środki, jak: podtrzymywanie cen ziemi i dwumiesięczne moratorjum dla właścicieli gruntów obciążonych hipoteką w razie bankructwa banku, który dostarczał im kredytu krótkoterminowego; kredyty na cele budowlane; popieranie budowli domków mieszkalnych; wreszcie pięciodnowy tydzień roboczy.

Czy jednak rzeczywiście istnieją objektywne warunki, by działanie polityki gospodarczej mogło wpłynąć na ożywienie konjunktury? Czy nie mylą się kierownicy akcji rekonstrukcyjnej, przypuszczając, iż okres niepomyślnej konjunktury trwał dostatecznie długo, by módz wyzwolić siły, któreby mogły oddziaływać w kierunku poprawy?

Oznaki poprawy, które się pojawiły ostatnio w gospodarce światowej obejmują w pierwszym rzedzie rynek pieniężny. Płynność rynku pieniężnego jest nieodzownym warunkiem zaistnienia okresu ożywienia konjunkturalnego. Pomimo stałego kurczenia się rozmiarów ruchu inwestycyjnego[1]) w ciągu ostatnich trzech lat, płynność na rynku pieniężnym nie wzrastała. Za najważniejszą przyczynę tego stanu rzeczy jaki się, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku gospodarczego, znacznie pogłębił, uważać należy to nastawienie społeczeństw, które się zwykle określa, jako „kryzys zaufania". Według wiadomości podawanych ostatnio przez prasę, kryzys zaufania tak w Stanach Zjednoczonych, jak i w Anglji został ostatnio przełamany. Potwierdzeniem tego może być w Anglji udana konwersja wielkiej pożyczki wojennej

---

[1]) Pod pojęciem ruchu inwestycyjnego pojęta tu jest zarówno działalność w kierunku budowy i odbudowy warsztatów produkcji i urządzeń przeznaczonych do bezpośredniej konsumcji, jak i w kierunku gromadzenia zapasów wytwarzanych przez dane warsztaty produkcji.

z 3% na 3½%, która unaocznia najlepiej płynność na angielskim rynku pieniężnym. W Stanach Zjednoczonych założona jeszcze w zeszłym roku National Credit Corporation, jak i Reconstruction Finance Corporation, przeciwdziałają fali upadłości, przywracając tem zaufanie szerokiego ogółu do instytucyj bankowych. Glass-Steagall Banking Acts zezwalają Bankom Rezerwy Federalnej na wzmożenie zakupów obligacyj państwowych na wolnym rynku, powiększają przez to środki, jakie z systemu Rezerwy Federalnej płynąć mogą do banków prywatnych. Okoliczność ta zwiększa znacznie płynność banków i przy nawrocie kapitałów tezaurowanych dotychczas „w pończosze" daje im podstawy do liberalniejszej polityki kredytowej.

Samo zahamowanie jednak postępów „kryzysu zaufania" jak i upłynnienie rynku pieniężnego nie stwarza jeszcze podstaw do czynienia przypuszczeń, że w Stanach Zjednoczonych rozpoczęła się zdecydowanie faza ożywienia konjunkturalnego. Uspokojenie psychozy kryzysowej i taniość pieniądza jest przedewszystkiem nieodzownym warunkiem, by życie gospodarcze „ustabilizowało się" na pewnym poziomie depresji. Jak dotychczas brak zaś dostatecznej ilości dowodów, że życie gospodarcze w Stanach Zjednoczonych weszło właśnie w okres ożywienia gospodarczego, a nie w okres depresji. Rozróżnienie to może się wydawać z punktu widzenia praktycznego bez większego znaczenia, gdyż można sobie wyobrazić, że okres depresji trwał wyjątkowo krótko i że dzięki sile impulsu, jaki dała życiu gospodarczemu Reconstruction Finance Corporation, ożywienie przyszło wcześniej.

W rzeczywistości od odróżnienia tego zależy cała ocena działalności Reconstruction Finance Corporation. Wszelkie działanie w kierunku ożywienia konjunktury musi się opierać o założenie, że w najbliższym czasie nastąpi samorzutna poprawa konjunktury, wobec bowiem ograniczonych możliwości ingerencji polityki gospodarczej w zakresie planowego kształtowania faz konjunkturalnych zły moment rozpoczęcia akcji decydować musi o niechybnem jej niepowodzeniu. Optymiści twierdzą, że istnienie w całym szeregu gałęzi wytwarzania niezlikwidowanych znacznych zapasów nie ma większego znaczenia. Zwracają oni uwagę na okoliczność, iż w przebiegu dotychczasowych kryzysów zapasy ulegały częstokroć likwidacji dopiero po rozpoczęciu się okresu poprawy. Pesymiści dotychczasowe oznaki poprawy przypisują w głównej mierze działaniu czynników sezonowych, które w okresie depresji występują z reguły w znacznie silniejszym stopniu niż w okresie dobrej konjunktury.

Przy równorzędnym istnieniu objawów poprawy, obok niezlikwidowanych jeszcze objawów kryzysu efekt działalności Reconstruction Finance Corporation zależeć będzie w głównej mierze od sposobu w jaki ta działalność będzie prowadzona. Brak jest jeszcze objektywnych danych, by można było snuć na ten temat jakieś przypuszczenia. Pewne ogólne wnioski dadzą się jedynie sprecyzować na podstawie zasadniczych tendencyj panujących w łonie tej instytucji. Frederick W. Jones w artykule swoim o planie rekonstrukcyjnym Hoovera[1]), zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, które zagraża całej tej akcji wobec wyraźnie zarysowanych tendencji podtrzymywania przeznaczonych na zagładę przedsiębiorstw. Jako przykład przytacza tutaj pożyczanie przez Reconstruction Finance Corporation znacznych sum towarzystwom kolejowym, z których wiele stoi przed nieuchronnem bankructwem. W razie o ile rzeczywiście Reconstruction Finance Corporation starać się będzie przedłużyć istnienie przedsiębiorstw niedających się uratować, mając na celu jedynie odwleczenie terminu ich upadłości, czy reorganizacji; w razie o ile na tego rodzaju akcję „przetrwania" przeznaczone będą znaczne środki (a według Jones'a podobno ma to miejsce), to można się liczyć z całkowitem niepowodzeniem całego planu rekonstrukcyjnego. Podłoże polityczne całej akcji jest oczywiste. Nie bez powodów nasuwa się więc obawa, że ze względów politycznych akcja rekonstrukcyjna prowadzona będzie ze zbyt wielkim nakładem sił na krótkim odcinku czasu — do jesiennych wyborów prezydenta. Byłyby to jednak napewno — zbyt kosztowne wybory.

W dyskusji nad planem rekonstrukcyjnym Hoovera zbyt mało uwagi poświęca się sprawom rolnictwa. Dotychczas nie jest wiadomo, czy w programie swym prezydent Hoover w dostatecznej mierze uwzględnił zagadnienia związane z kyrzysem rolnym. Wiadomo jest jedynie, że Reconstruction Finance Corporation udzieliło znacznych kredytów Farm Board'owi na podtrzymywanie cen zbóż. Podniesienie ceny pszenicy ma stanowić jeden z zasadniczych punktów planu rekonstrukcyjnego. W tym celu na spekulację giełdową przeznaczone zostały wielkie sumy. Zakupy spekulacyjne wywołały znaczną zwyżkę cen na giełdzie w Chicago w ciągu drugiej połowy lipca i początków sierpnia. Wobec bardzo niskiego poziomu cen w momencie rozpoczęcia akcji zwyżkowej, rezultaty osiągnięte przez te zakupy dochodziły do 20% zwyżki cen dla wszystkich gatunków pszenicy. Następnie poziom cen obniżył się znów i podlega ostatnio znacznym wahaniom. Próba poprawy cen zbóż, o ile miałaby być prowadzona zbyt energicznie, może stanowić o ujemnym wyniku całej akcji rekonstrukcyjnej. Istnieją przypuszczenia, że zapasy zbóż w dniu 1 sierpnia 1933 r. będą większe niż kiedykolwiek dotychczas. Ograniczenie obszaru zasiewów w jednym z głównych krajów eksportowych pociąga natychmiast za sobą wzrost powierzchni uprawy w innych krajach. W krajach importowych w dalszym ciągu istnieją tendencje popierania krajowej produkcji zbożowej. Według danych Międzynarodowego Instytutu Rolniczego[1]) powierzchnia światowa (bez Z. S. S. R.) uprawy pszenicy jest w roku bieżącym większa o 0.7% w porównaniu z 1931 r., a o 2% w porównaniu ze średnią lat 1925/26 — 1929/30. Nie widać więc dążności do ograniczenia produkcji, która to dążność mogłaby wpłynąć na polepszenie sytuacji rolnictwa. Niespodziewaną poprawę cen zbóż wywołać mogą w tych warunkach jedynie klęski, żywiołowe, lub powikłania polityczne (wojna). W razie, o ile akcja zwyżki cen zbóż w Stanach Zjednoczonych prowadzona byłaby w zbyt forsownem tempie w ciągu miesięcy jesiennych (co jest prawdopodobne ze względów politycznych), to może wywołać tendencję do zwiększenia obszaru zasiewów pszenicy ozimej w tym kraju, co z kolei wpłynie de-

———

[1]) „Weltwirtschaftliches Archiv" tom 36 zeszyt 1. Lipiec 1932.

———

[1]) „Revue Internationale D'Agriculture" — Nr. 8, sierpień 1932.

prymująco na kształtowanie się ceny światowej tego artykułu. O znaczeniu zaś ceny pszenicy nietylko jako wskaźnika konjunktury rolniczej, ale jako ważnego czynnika, wpływającego na psychologję najszerszych warstw nie potrzeba chyba pisać, gdyż są to rzeczy ogólnie znane. Zwyżka cen drugiego ważnego surowca rolniczego — bawełny, ma znacznie mniejsze znaczenie, tak rzeczowe, jak i psychiczne. Optymiści wskazują tutaj na okoliczność, iż po niskich cenach zboża w okresie kryzysu rolniczego w latach 1894—6 przyszła znaczna zwyżka cen wywołana przez znanego spekulanta giełdowego Leitera w r. 1897, która to zwyżka przybrała później charakter trwały. Farm Board rozporządza obecnie większemi środkami, niż kiedykolwiek jakaś grupa spekulantów, pozatem ma za sobą cały potężny aparat Reconstruction Finance Corporation. Dlaczego więc jego akcja zwyżkowa nie mogłaby się udać? Optymiści zapominają przytem o starej prawdzie, o której chętnie nie pamiętają rolnicy wszystkich krajów, że równomierny podział podaży nie załatwi jeszcze kwestji samej podaży, o ile jest ona zbyt wielką. Tajemnicą powodzenia boom'u Leitera w 1897 r. był wielki nieurodzaj zbóż na całej kuli ziemskiej, który umożliwił likwidację zapasów z poprzednich lat. W roku bieżącym urodzaj będzie mniejwięcej równy rekordowym zbiorom lat poprzednich. Jeżeli nawet w którymś z krajów zbiory wypadają niepomyślnie, to przez cło ochronne i wysokie ceny doprowadza się do ograniczenia konsumcji, a nie importuje się zboża zagranicznego. Sytuacja na światowym rynku zbóż staje się w coraz większym stopniu wypadkową nieskoordynowanej i nie liczącej się z podstawowemi prawami ekonomicznemi działalności polityki zbożowej szeregu państw. W chwili obecnej nie ma więc jeszcze żadnych podstaw do spekulacji zwyżkowej na rynkach zbożowych. Akcja Federal Farm Board'u wywołać może jedynie poprawę chwilową, lub w razie jeżeli będzie prowadzona oględnie — złagodzenie skutków nadprodukcji zbożowej i odwleczenie procesów likwidacyjnych w rolnictwie doczasu, gdy wskutek zmniejszenia produkcji zbóż powstaną objektywne warunki poprawy.

Ze strony zbożowej zagraża więc działalności Reconstruction Finance Corporation największe niebezpieczeństwo. W razie o ile ceny zbóż będą zbyt wyśrubowane, grozi całej akcji załamanie. Jeżeli zaś ceny zbóż pozostaną niskie — a ceny artykułów przemysłowych będą miały tendencję rosnącą, to powiększy się rozpiętość „nożyc", co z kolei zaważy na rezultatach akcji.

W tych warunkach przemówienie prezydenta Hoovera na wielkiej konferencji gospodarczej 25 sierpnia b. r., w którem zaznacza, że Stany Zjednoczone przezwyciężyły już większą część przesilenia, można uważać tylko za manewr wyborczy. Trudno jest bowiem przypuszczać, by sam prezydent Hoover wierzył, że „odniesiono zwycięstwo pod Château Thierry, a pozostaje jeszcze tylko do wygrania bitwa pod Soissons" (analogji tych do zwycięstw francuskich w 1918 r. użył w swem przemówieniu). Jeżeli pozostawać przy porównaniach do walk z okresu Wielkiej Wojny, to obecne zmagania się z kryzysem w Ameryce przyrównać możnaby było raczej do bitwy nad Marną.

W prasie polskiej pojawiły się ostatnio głosy, domagające się ze strony rządu wejścia na drogę „pomagania" konjunkturze wzorem poczynań amerykańskich (i ostatnio niemieckich). Zwolennicy akcji „podniecania" konjunktury zapominają, że pierwszy konieczny warunek dla takiej akcji — płynność rynku pieniężnego, w Polsce obecnie nie istnieje. Do poprzednich objawów pogarszającej się sytuacji na rynku pieniężnym (jak wycofywanie krótkoterminowych kredytów zagranicznych, ucieczka zagranicę i tezauryzacja kapitałów krajowych) dochodzą jeszcze dalsze trudności, których należy się spodziewać w związku z ukazaniem się dekretów o spłacie zobowiązań rolniczych. Przy wszelkich pomyślnych konsekwencjach jakie dekrety te mieć mogą dla obdłużonych warsztatów rolnych, bezpośrednim ich skutkiem będzie pewne zamrożenie rynku pieniężnego. Jesteśmy pozatem krajem rolniczym, sytuacja więc rolnictwa ma u nas znacznie większy wpływ na ogólną konjunkturę, niż w innych krajach. Trudno jest więc przypuszczać, by przy tendencji do kurczenia się spożycia na wsi i przy stale rosnącej rozpiętości „nożyc", można było oczekiwać rezultatów od akcji „ożywienia" konjuntury, prowadzonej według wzorów zagranicznych.

Wydaje się raczej wskazaną powściągliwość do czasu, gdy dotrze do nas fala taniego pieniądza i gdy akcja rekonstrukcyjna Hoover'a wykaże bardziej trwałe pozytywne rezultaty.

UWAGI

NA PRZEDNÓWKU.

Polska jest krajem rolniczym, a więc i wyrażenie: „na przednówku", odnoszące się do najcięższego w gospodarce rolnej okresu, można zastosować do miesięcy jesienno-zimowych, najcięższych zwykle dla pracowników fabrycznych.

Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że jesień, zima i wczesna wiosna, 1932/33 roku zaciążą mocno na sytuacji rynku pracy. Nie patrząc nawet do statystyki zatrudnienia i bezrobocia możemy przewidzieć, iż najbliższe miesiące przyniosą zaostrzenie losu wielotysiącznej masy bezrobotnych i częściowo zatrudnionych. Wobec wygasania pomocy ze strony Funduszu Bezrobocia, którą to pomoc ogranicza ustawa do kilku miesięcy pozostawania bez pracy, jakoteż z uwagi na stopniowe, a coraz to większe wyczerpywanie się rezerw, posiadanych jeszcze przez bezrobotnych — sytuacja tych ostatnich z dniem każdym ulega znacznemu pogorszeniu.

O zastosowanie daleko-idących, „długofalowych" środków, mających na celu złagodzenie klęski bezrobocia, jako wyniku depresji konjunkturalnej i przyczyn strukturalnych, nie może być mowy w momencie, kiedy Skarb Państwa boryka się z deficytem budżetowym, a naśladownictwo redeflacyjnych posunięć niemieckich, bazowanych na wierze w rychłą poprawę konjunktury, jest w Polsce jak dotąd wręcz niepopularne. I o ile wszyscy są zgodni

w tem, że sumy, idące na zasiłki dla bezrobotnych, są równie małe, co nieproduktywne, o tyle nie sposób wynaleźć źródła finansowe, zdolne zasilić akcję planowego, celowego i masowego zatrudnienia bezrobotnych na robotach publicznych i t. p. Próby, jakich podejmowano na wiosnę b. r. w skali nieco większej, niż to poprzednio przeprowadzały niektóre samorządy, spaliły — jak wiadomo — na panewce.

Pozostaje więc chwilowo (tem więcej, że zima nie nadaje się do prowadzenia robót w terenie) jedynie akcja doraźna. Nie akcja ekonomiczna, aktywna, gospodarczo-twórcza, lecz charytatywna, bierna, gospodarczo obojętna. Już nie chodzi o to, aby wybudować czy naprawić x metrów czy kilometrów drogi lub kanału, lecz o to, aby setki tysięcy głodujących ludzi poprostu — nie glodowało. Być może nie jest to ani wielka robota, ani efektowna, napewno będzie to jednak robota — *efektywna*.

Mimo to zagadnienie, skąd pieniądze? — staje otwarte i czeka rozwiązania. Ministerstwo Opieki Społecznej posiada — ze względów budżetowych — b. skromne środki na akcję doraźną. Pewne superaty mogą się coprawda ujawnić na koncie deficytowego do tej pory Funduszu Bezrobocia, który siłą rzeczy będzie wypłacał mniej rent, aczkolwiek jego wpływy również się osłabiają, jednakże w mniejszym cokolwiek stopniu. Wszystkie te dochody nie wystarczą jednak do przekarmienia, powiedzmy, ćwierć miljona ludzi w ciągu 4 — 5 miesięcy jesienno-zimowych.

W tym stanie rzeczy wydanie dekretu o Funduszu Pomocy Bezrobotnym jest sięgnięciem po nowe, niewyzyskane lub słabo dotąd wyzyskane możliwości finansowe. Dekret, ustanawiając 9 różnych drobnych opłat (opłaty od biletów kolejowych istnieją na zasadzie rozporządzenia Ministra Komunikacji), ma na celu uzyskać — jak prasa doniosła — około 20 miljonów zł. w stosunku rocznym.

Nie chcielibyśmy w tem miejscu dyskutować nad tem, czy poszczególne opłaty, ustanowione przez dekret z 23 sierpnia, są dobrze czy źle skonstruowane, sprawiedliwe czy niesprawiedliwe i t. p. Jasną jest rzeczą, iż są one nowem obciążeniem ludności, przyczem z uwagi na charakter opłat jedna i ta sama osoba może być pociągnięta do płacenia na rzecz Funduszu Pomocy Bezrobotnym nawet z... sześciu tytułów. Jasnem jest atoli również i to, że przy ustalaniu drobnych stawek, w liczbach *bezwzględnych* istotnie niewielkich, trudno myśleć o takiej precyzji, żeby i Fundusz miał dochody i opłata pozostawała zawsze w tej samej proporcji do ceny opodatkowanego przedmiotu i każdy płatnik był jednakowo zadowolony (lub niezadowolony).

Ważniejsze jest natomiast co innego: dekret, ustanawiając opłaty (a nie podatki czy dodatki do podatków), musiał siłą rzeczy pójść po linji najmniejszego oporu i obciążyć — w sposób de facto niewysoki — konsumcję sensu largo. (Nawiasem należy jednak zaznaczyć, że opłaty od cukru, piwa i żarówek nie mogą i nie potrzebują być przerzucone na spożywcę). Znaczny ciężar omawianych opłat spadnie na barki warstw średnio-zamożnych, a więc powiedzmy sobie otwarcie, tych, które zazwyczaj są powoływane do świadczeń na te lub inne cele społeczne. W żadnym wypadku nie można rozumować, że opłaty, ustanowione sierpniowym dekretem, są „wymierzone" przeciwko klasie ubogiej. Przecież ludzie ubodzy nie grają w totalizatora, nie chodzą do teatru i kina, a w każdym razie nie na droższe miejsca, nie mają schowków w bankach, nie posiadają nieruchomości z lokalami od 3 izb począwszy. A jeżeli grają, chodzą do kin, są kamienicznikami i t. d., to nie są ludźmi ubogimi[1]).

Tem niemniej charakterystyczne jest dla omawianego dekretu, że zdaje się on wychodzić z założenia, iż kto ma jeszcze środki na to, aby móc się, dajmy na to, zabawić, podczas gdy tysiące ludzi nie ma co do ust włożyć, niech przy okazji swej zabawy ofiaruje (pod rygorami karnemi) kilkanaście groszy na bezrobotnych. Przy obciążeniu opłatami właścicieli domów argument ten traci mocno rację bytu, gdyż w gruncie rzeczy jest to jakgdyby dodatek do podatku dochodowego, a już zupełnie nie pasuje przy opłatach od domowego zużycia gazu, gdzie opłata (aczkolwiek w praktyce mało dostrzegalna) stanowi wyraźne obciążenie spożycia, które za „luksusowe" w żadnym wypadku uchodzić nie może.

Działalność Funduszu Pomocy Bezrobotnym, którego stronę finansową tworzą wspomniane opłaty, będzie niewątpliwie ośrodkiem całokształtu akcji humanitarnej, prowadzonej na przykładzie (zresztą dodatnim) b. Naczelnego Komitetu do Spraw Bezrobocia. Stosownie jednak do zadań „dalej idących" Funduszu, jakie mu przypisuje art. 2 dekretu z 23.VIII, należy wyrazić przypuszczenie, iż rozpocznie on prace nad przygotowaniem się do podjęcia z wiosną p. r. robót, mających na celu zmniejszenie kadr bezrobotnych i przysporzenie krajowi trwałych wartości gospodarczych. Trudno dzisiaj przesądzać, czy, dajmy na to, za pół roku sytuacja finansowa już umożliwi ostrożną antycypację dalszej poprawy konjunktury. Jest jednak koniecznością już teraz — w okresie przednówka przemysłowego — zastanowić się nad wszelkiemi realnemi ewentualnościami na odcinku robót inwestycyjnych. Czy to będzie koncepcja stworzenia „armji pracy" złożonej z młodzieży, opuszczającej szeregi po odbyciu służby wojskowej, a nie znajdującej zatrudnienia, czy to plan wykorzystania zaległości podatkowych wobec państwa i samorządu (nie należy tu, broń Boże, myśleć o swoistej formie pańszczyzny!), czy też inne rozwiązania tak od strony organizacyjnej, jak i finansowej — można i należy brać je na warsztat prac Funduszu i Ministerstwa Opieki Społecznej, aby okresu sezonowego ożywienia nie zmarnować na *szukanie* pomysłów i środków. I wartoby skierować na ten odcinek pomysłowość i wynalazczość społeczeństwa, które nadal bałamucone jest mętnemi koncepcjami walutowemi i programem uzdrowienia ludzkości.

b.

---

[1]) Jedno z pism zauważyło uszczypliwie, że należało opodatkować przedmioty zbytku, biżuterję, brylanty, wino i karty do gry. Możnaby atoli wyrazić obawę, czy opodatkowanie np. kart do gry, popularnej i być może jedynej rozrywki warstw ubogich, nie wywołałoby sprzeciwów właśnie ze strony tych ostatnich.

ORGANIZACJA WYSIŁKU.

„Święto morza“, które było wspaniałą manifestacją narodową na dowód łączności całej Polski z Pomorzem i wybrzeżem morskim, odsłoniło jedną z naszych bolączek organicznych. Spontaniczna demonstracja dziesiątków tysięcy ludzi dawała odczuć czem dla społeczeństwa polskiego są doświadczenia historji, a jednocześnie świadczyła o niezawsze należytem funkcjonowaniu maszyny organizacyjnej. Przyczyna powyższego była jedna: uroczystość „zrobiono na gwałt“, „na kolanie“, w ostatniej chwili. Miasto liczące 40.000 mieszkańców, któremu przypadło w udziale gościć 100.000 przybyszów, nie jest — że się tak wyrazimy — *strukturalnie* przygotowane do podejmowania tak kolosalnego napływu ludzi. Samo „gorące serce“ nie wystarczy: trzeba je uzupełnić kwaterami w domach mieszkalnych (jak w Poznaniu w czasie „Pewuki‘), namiotami i Bóg wie czem jeszcze. Sklepy czy stragany muszą być zawczasu zaopatrzone w odpowiednią ilość towarów. A nad wszystkiem unosić się powinien jakiś *plan,* w którym element *czasu* nie może być traktowany byle jak. I plan ten musi być podmurowany pieniężnie, przygotowany *finansowo.* Ale nie w przed dzień uroczystości, tylko wcześniej, dużo wcześniej. Wszakże do ostatniej chwili miasto nie wiedziało, czy, ile i skąd otrzyma niezbędne kredyty.

Zła organizacja osłabia entuzjazm mas, jak również niszczy zapał do pracy jednostek. Marnotrawstwo sił i środków, które Komisja Ankietowa wykryła w przemyśle prywatnym, istnieje — tylko, że mniej widoczne — w dziale pracy publicznej. Tak np. w artykule p. F. Świtalskiego, zamieszczonym w t. II wydawnictwa „Pięć lat na froncie gospodarczym“, czytamy, że urzędnik skarbowy jest przeciążony pracą, że jest on „ograniczony w rozporządzaniu swym czasem“, „że mimo nadwyrężonych sił przy stałej pracy w godzinach wieczornych około 50 — 60 proc. urzędników skarbowych, częściowo lub w całości nie wykorzystuje urlopów wypoczynkowych, a wielu z nich od chwili wstąpienia do służby skarbowej zupełnie nie było na urlopie“. Niewątpliwie taki ofiarnik czy bohater, za jakiego można uważać skromnego „koncypjenta“ czy „asesora“, wzbudza podziw swem „samozaparciem“, „ideowością“ itp., podatnik jednak boleśnie odczuwa na sobie zły humor i szarpnięte nerwy wymęczonego, pracującego bez wypoczynku urzędnika. I, doprawdy, z faktu, jaki przytacza p. Świtalski, że „są urzędy (skarbowe), których 99 proc. urzędników nie korzystało z urlopów“, absolutnie nikt nie może być dumny. Raczej należy go się wstydzić, świadczy on bowiem o niewłaściwej organizacji pracy, która toleruje podobnie fatalną gospodarkę. *materjałem ludzkim* bez względu na jej wynik końcowy. A ten mimo pozorów musi być ujemny.

Trudność harmonijnego powiązania ze sobą członów organizmu pracy państwowej, zły rozkład funkcyj, odpowiedzialności i kompetencyj, wadliwa hierarchja, brak informacyj o tem, kto się czem zajmuje, a przez to dublowanie tych samych czynności, zaskakiwanie pracownika poleceniami, które muszą być wykonane *natychmiast* i za *wszelką cenę* (t. zn. cenę ludzkich nerwów), chociaż w 90 wypadkach na 100 polecenie to można było dać wcześniej i jego wykonanie odpowiednio *przygotować,* kompletne nie liczenie się z ubóstwem środków materjalnych i przymusowe zastępowanie ich wysiłkiem woli — oto cytowane exempli modo przykład niedomagań organizacyjnych aparatu. Tu i ówdzie, na górze i na dole, obserwujemy, *marnotrawstwo* energji, zapału, wiedzy, *nadużywanie* ludzkich sił i nerwów, *lekceważenie* potrzeb *człowieka,* wobec którego maszyna stała się arystokratą. Trudno wszakże wymagać od pracownika *stałego* „atakowania“ w złych warunkach i *ciągłego* poświęcenia się nie dlatego, że tego wymaga „wyższa sprawa“, jak na wojnie, lecz dlatego, że *niewłaściwa organizacja* każe mu *niepotrzebnie* podwajać wysiłek.

k. b.

BONY PODATKOWE V. PAPEN‘A.

Ogłoszone w dniu 5 września b. r. rozporządzenie doraźne Prezydenta Rzeszy w sprawie „ożywienia gospodarstwa“ pozwala na bliższe zapoznanie się z tym niezwykle ciekawym pomysłem rządu v. Papen‘a, jaki stanowią bony podatkowe (Steuergutscheine). Założenia i szczegóły tej imprezy zostały wyłuszczone przez Kanclerza Rzeszy na zjeździe westfalskiego związku włościańskiego: dekret Prezydenta Rzeszy wprowadził tylko nieistotne zmiany do całego planu. Myśl przewodnia i konstrukcja planu przedstawia się w następujący sposób:

Przy opracowaniu programu gospodarczego, który — jak wiadomo obliczony jest tylko na okres przejściowy, t. j. na najbliższych 12 miesięcy, przyświecały rządowi dwa najbliższe cele: usunięcie wzgl. zmniejszenie bezrobocia i zahamowanie procesu deflacji. Te najbardziej bezpośrednie zadania zostały skoordynowane; projektowane środki zmierzają do równoczesnej realizacji obu wymienionych celów. Program opiera się na założeniu, że obecny kryzys światowy osiągnął już „dno“. Stąd wydaje się rzeczą wskazaną przysporzyć wyczerpanemu organizmowi gospodarczemu Niemiec środków, któreby mu pozwoliły wziąć udział w oczekiwanem ożywieniu gospodarstwa światowego. W tym celu należy zahamować deflację, co da się uskutecznić na dwojakiej drodze: drogą obniżenia ciężarów podatkowych bez naruszenia podstaw gospodarki skarbowej i drogą zwiększenia stanu zatrudnienia. Potrzebny w tym celu nakład nowych środków finansowych — poza sumami przewidzianemi w budżecie, będzie wynosić ponad 2 miljardy zł. Mobilizacja tych środków dojdzie do skutku przy współpracy Skarbu z Bankiem Rzeszy.

Rząd odrzucił myśl zdobycia tych środków zapomocą przymusowej pożyczki, a wybrał drogę następującą:

W czasie od 1 października 1932 do 30 września 1933 będzie otrzymywał każdy podatnik przy zapłacie zapadających podatków obrotowych, realnych i komunikacyjnych, bony podatkowe i to przy podatku komunikacyjnym, (płaconym przez koleje Rzeszy), na sumę zapłaconą w pełnej wysokości, a przy innych w wys. 40% zapłaconego podatku. Płatnik musi więc podatki zapłacić gotówką, ale otrzymuje przytem bony, co praktycznie przedstawia się tak, jakby płatnik udzielił państwu pożyczki w sumie odpowiadającej kwocie bonów. Pożyczkę tę będzie państwo spłacić w latach późniejszych, a mianowicie od 1934 do 1938, w ten sposób, że posiadacze bonów będą mogli niemi spłacać wszelkie podatki z wyj. podatku dochodowego, przy zarachowaniu na poczet podatków corocznie $1/_5$ przedstawianych

bonów. W ten sposób Skarb Rzzesy poniesie ubytek dochodów w latach 1932 — 38, który zresztą bardzo znaczny nie będzie i da się w jakiś sposób pokryć. Sumę emisji bonów podatkowych kanclerz Rzeszy oblicza na półtora miljarda Rmk. O taką kwotę zwiększy się więc podstawa kredytowa przedsiębiorców, płacących podatki, wzgl. zmniejszy się suma podatków obciążających produkcję — oczywiście pod warunkiem, że będzie istniała możność spieniężenia bonów podatkowych. Według dekretu bony mają posiadać obieg giełdowy i zdolność lombardową. Wysoki kurs ma im zapewnić ażio ustawowe w wysokości 4% rocznie. Cała nadzieja tej olbrzymiej operacji emisyjnej polega na tem, że przedsiębiorcy zechcą zużytkować posiadane bony przez zaciąganie za ich pomocą kredytu w bankach na nowe inwestycje, remont itp. Dotychczas przedsiębiorcy w obawie przed dalszą deflacją powstrzymują się od inwestowania swoich rezerw kapitałowych: bony podatkowe mają być tym materjalnym bodźcem, który popchnie ich do inwestycji i do zwiększania produkcji. Uchodzi za pewnik, że banki będą chętnie nabywać bony, gdyż cierpią na brak pewnej i krótkoterminowej lokaty. W ostatecznym razie pozostaje Bank Rzeszy, który według przewidywań będzie mógł bez trudności przyjąć do lombardu poważną sumę bonów.

Jeżeliby nawet trudności w ulokowaniu bonów obawiać się nie należało to jednak zupełnie możliwe, że przedsiębiorcy nie objawią skłonności do spieniężenia bonów i zatrzymają je w portfelu. W takim razie cały efekt emisji bonów spaliłby na panewce nie przynosząc pożądanego ożywienia produkcji i obrotów. Tej ewentualności zaradzić mają inne środki a przedewszystkiem premjowanie wzrostu zatrudnienia. Bezpośrednim bodźcem do powiększenia produkcji mają być właściwie dwie premje dla przedsiębiorcy; jedna w postaci bonów podatkowych za przyjmowanie nowych sił roboczych i druga w postaci zezwolenia na obniżenie płac taryfowych wzamian za wprowadzenie krótszego czasu pracy. Poza wspomnianą wyżej kwotą półtora miljarda mk., rząd projektuje wyasygnowanie około 700 milj. mk. w bonach podatkowych tym przedsiębiorcom, którzy udowodnią, że zatrudniają większą ilość sił roboczych, niż dotychczas. Za każdego nowoprzyjętego pracownika przedsiębiorca otrzyma w ciągu roku 400 mk. w bonach. Suma 700 milj. mk. pozwoli na zwiększenie stanu zatrudnienia o 1¾ miljona pracowników, co równałoby się zażegnaniu w dużej mierze klęski bezrobocia. Będzie to więc specyficzna forma walki z bezrobociem; zamiast wydawać pieniądze wprost na zasiłki dla bezrobotnych (które zresztą w skromnych rozmiarach zostaną utrzymane), rząd będzie premjował tych przedsiębiorców, którzy dadzą pracę bezrobotnym. Zamiast zasiłku, bezrobotny otrzyma pracę, a premja w bonach będzie dla przedsiębiorcy tem, co obniżenie robocizny.

Powyższe szkicowe przedstawienie najważniejszej części programu niemieckiej „jednolatki" pozwala wyrobić sobie zdanie o metodach i środkach, jakich rząd niemiecki użyje do obudzenia z letargu życia gospodarczego. Będzie to przedewszystkiem ekspansja kredytowa o bardzo oryginalnej strukturze. Plan emisji bonów podatkowych nie jest bowiem niczem innem, jak planem zaciągnięcia krótkoterminowej pożyczki wewnętrznej Rzeszy. Oryginalność całej koncepcji polega na tem, że zebrane tą drogą środki pieniężne nie będą sztucznie wtłaczane do życia gospodarczego przez różne inwestycje państwowe wzgl. samorządowe, lecz zostaną — według intencyj autorów projektu — zużytkowane przez gospodarstwo prywatne w sposób niejako organiczny. O tem, czy i jakie należy czynić inwestycje, mają decydować bezpośrednio sami producenci; rola państwa ogranicza się tylko do tego, że rząd stawia do dyspozycji producentom pewne środki kredytowe, któremi ci mogą dowolnie rozporządzać. W tem tkwi cała zaleta i wada koncepcji. Zaleta polega na organicznem finansowaniu życia gospodarczego. Natomiast słaba strona koncepcji leży w tem, że cel zasadniczy projektowanej emisji bonów może zostać łatwo wypaczony, gdy przedsiębiorcy nie objawią skłonności do spieniężenia bonów na cele inwestycyjne. Bodziec mają wprawdzie bardzo silny w postaci premij za zwiększenie ilości zatrudnionych i w postaci obniżenia ciężaru podatkowego, czy może to jednak zastąpić jedynie gospodarczo uzasadniony motyw zwiększenia produkcji, jakim jest — wzrost zamówień? Słabą stroną może się okazać również to oparcie całego planu na nadziei rychłego zwrotu na lepsze w konjunkturze ogólnoświatowej. W każdym razie, cokolwiek o planie da się powiedzieć nie ulega wątpliwości, że w pierwszym rzędzie przyczyni się on do doraźnego poprawienia sytuacji. Skarbu Rzeszy. Dotychczas nie zwrócono w prasie na to uwagi, że emisja bonów podatkowych będzie przedewszystkiem premjowaniem terminowej płatności podatków. Dzięki systemowi bonów płatność podatków niewątpliwie polepszy się. — a to, zdaje się, jest ważnym aczkolwiek pobocznym celem, do którego zmierza rząd konstruując plan ożywienia gospodarki niemieckiej.

Na tle przedstawionych wyżej uwag wyłania się pytanie: czem jest w istocie ten niemiecki „Ankurbelungsplan"? Czy emisja bonów podatkowych nie doprowadzi przypadkiem do ukrytej inflacji kredytowej? Na ten temat rozwinęła się w prasie ożywiona dyskusja, zresztą silnie poparta nieuctwem jej inicjatorów. Gdy jednak dokładnie rozpatrzy się strukturę niemieckiego rynku pieniężnego i kapitałowego, to musi się przyjść do przekonania, że o inflacyjnem działaniu emisji bonów podatkowych trudno mówić. Emisja bonów ma na celu wykorzystanie istniejących, niezatrudnionych kapitałów, a nie stworzenie dodatkowej siły nabywczej. Że rynek niemiecki potrafi wchłonąć owe 2 miljardy mk. zdaje się nie ulegać wątpliwości, zwłaszcza jeśli się zważy, że rynek niemiecki ma zawsze duże możliwości uzyskania krótkoterminowych kredytów zagranicznych. Obawy, że bony podatkowe będzie musiał przyjąć Bank Rzeszy, są bezpodstawne chociażby dlatego, że na zwiększenie lombardu nie pozwoli Bankowi statut, a na zmianę statutu nie pozwolą państwa wierzycielskie. Zresztą sama konstrukcja emisji bonów jest tego rodzaju, że wyklucza możliwość inflacji: wzrost kredytów jest tu zależny od tego, czy posiadacz bonów zechce je spieniężyć, a spieniężywszy — inwestować i od tego czy dana instytucja kredytowa zechce bony nabywać. Nikt tu nikogo do niczego nie zmusza. I właśnie w tem leży słaba strona planu — jak wyżej powiedzieliśmy. Jeżeli czego obawiają się niemieckie sfery gospodarcze, to nie inflacji, lecz tego, że produkcja nie ruszy mimo postawionych jej do dyspozycji środków pieniężnych. Naszem zdaniem jest to obawa

zupełnie realna. Emisja bonów przyniesie w najlepszym razie duże odciążenie produkcji, ale od tego, do ożywienia całego gospodarstwa, droga jest jeszcze daleka i uwarunkowana działaniem wielu innych czynników.

Na marginesie tych uwag nie od rzeczy będzie zastanowić się, czy możliwe byłoby zastosowanie niemieckiego pomysłu na gruncie polskim. Zdaje się, że realizacja jego, przynajmniej w tej postaci, jaką mu nadał dekret Prezydenta Rzeszy byłaby całkowicie niewykonalna przedewszystkiem z powodu ogromnego ubóstwa naszego rynku kapitałowego i nieufności jaka panuje w stosunkach kredytowych między rynkiem polskim i rynkami zagranicznemi. Próby tego rodzaju rozbiłyby się więc u nas o trudności spieniężenia bonów. Przy większej podaży kurs ich spadłby tak nisko, że ze względów prestiżowych Państwo nie mogłoby w żadnym wypadku wdawać się w tak ryzykowną i bez tego imprezę. Gdyby Skarb Państwa chciał u nas zbonifikować w formie emisji bonów 40% podatku obrotowego, gruntowego i od nieruchomości, musiałby emitować bonów na sumę 180 milj. zł. Jest to kwota, która obecnie na rynku ulokować się nie da nawet przy stopie dyskontowej 15%. Pozostawałby zatem tylko Bank Polski, ale jego możliwości w obecnych ramach statutowych są bardzo ograniczone. Po drugie nie należy zapominać o tem, że obecna sytuacja Skarbu Państwa po zaprowadzeniu szeregu ulg podatkowych i odroczeń płatności nie pozwala na wprowadzanie nawet takich bonifikat, które wpłyną na zmniejszenie dochodów Państwa chociażby dopiero za trzy lata. Ta zaś szczupła ilość wolnych kapitałów, jaka znajduje się na rynku, powinna być w pierwszym rzędzie zachowana na potrzeby Skarbu Państwa, który w razie, dalszego niedopisywania wpływów będzie musiał upłynnić swoje rezerwy, lub zaciągnąć pożyczkę, na rynku prywatnym. Rozwiązania panujących trudności musi się więc szukać u nas na innej drodze, może mniej efektownej, ale za to bardziej skutecznej niż ryzykowny pomysł niemiecki.

Dr. Stefan Buczkowski.

PODZIEMNA DYKTATURA.

Nie mamy zamiaru pisać o książce, która pod powyższym tytułem narobiła dużo wrzawy, tem więcej, że poprzedziła ją i uzupełniła krzykliwa reklama prasowa. Nie o Al. Capon'ie chcemy kilka słów powiedzieć, lecz o — deflacji. Co zaś ma dyktatura (i to podziemna) do deflacji lub — odwrotnie — deflacja do dyktatury (podziemnej), to się niebawem wyjaśni.

Bilanse 55 banków akcyjnych prywatnych i 5 największych domów bankowych wykazują, że wkłady przez nie posiadane (terminowe, bezterminowe i oszczędnościowe), spadły:

z 885 milj. zł. (31.XII.1930 r.)
na 455 milj. zł. (30.VI. 1932 r.)

czyli o 430 milj. zł., a więc niemal o połowę. W komunalnych kasach oszczędności stan wkładów, aczkolwiek w rb. nieco się obniżył, pozostawał jeszcze trochę powyżej stanu na koniec 1930 r. PKO. wykazuje nawet w tym czasie wzrost wkładów oszczędnościowych o 132 milj. zł. Natomiast ubytek wkładów ze spółdzielni kredytowych w omawianym okresie 1½ roku szacować można na 100 milj. zł. Przeciwstawiając banki i spółdzielnie komunalnym kasom oszczędności i PKO., dojdziemy do wniosku, że *na czysto* z polskich instytucyj finansowych ubyło w ciągu wspomnianego okresu około 400 milj. zł. A 400 miljonów złotych — to przecież 1/7 wszystkich wkładów w Polsce z końcem 1930 r. Ta pokaźna kwota — to wszakże dorobek 3 lat „prosperity" 1927 — 1929. Te 400 miljonów — to wielka armja drobnych, średnich i wielkich „ciułaczy", „inwestorów, „businessman'ów". I ta suma, którą oni wycofali, — to wytrącenie podstawy działalności kredytowej polskich instytucyj finansowych. Bo przecież ubytkowi 371 milj. zł. wkładów (dane dla wszystkich banków, kas i spółdzielni za okres od 1.I. 1931 do 1.IV. 1932 r.), uzupełnionemu wycofaniu przez zagranicę z naszych banków 296 milj. zł. (okres j. w.), towarzyszył spadek kredytów o 725 milj. zł. Do 30. VI br. niewątpliwie powiększył się on do 750, a kto wie, czy i nie do 800 miljonów.

Rozwój polskiego życia gospodarczego znajduje się w rękach zagranicznych i krajowych posiadaczy lokat. Ich jeden władczy gest — gestowi rzymskich cezarów podobny — kładzie setki przedsiębiorstw, wyrzuca na bruk tysiące robotników, obniża ceny niezwiązane, hamuje spożycie, dezorganizuje procesy gospodarcze. Wielka to armja, która napewno nie zdaje sobie sprawy ani z potęgi, jaką reprezentuje, ani ze szkód i spustoszeń, które czyni, ani też z niebezpieczeństwa, jakie jej samej zagraża. Podziemna, a raczej — bezimienna dyktatura ludzi, rekrutujących się niemal ze wszystkich klas społecznych. I zewnętrzny objaw tego, co się w nauce nazywa „automatyzmem gospodarczym".

z. i.

* *

„Co raz to nowsze konferencje, znowu zgrzytanie zębów — i ciągle coraz to więcej biedy" — czytamy w jednem z pism angielskich. I pismo to proponuje na ten temat bajeczkę następującej treści:

Rozdział I: Onego czasu dwa osły żyły spokojnie na wielkiej łące, gdzie była dostateczna ilość trawy dla wszystkich osłów całego świata.

Rozdział II: Pierwszemu osłu przyszło nagle do łba, że przecież drugi osioł byłby zdolny zjeść więcej od niego. „Powinienem mu w tem przeszkodzić" — powiedział sobie i rozpoczął z wielkim nakładem sił, porykując patrjotycznie, budowę obronnej barjery w kącie, który przeznaczył dla siebie.

Rozdział III: Wówczas drugi osioł pomyślał: „Z jakiej racji to zwierzę miałoby zachować dla siebie zakątek pola? Żaden osioł nie powinien być wszakże większym osłem ode mnie". I przystąpił do gromadzenia trawy aż do chwili, kiedy jego kopica siana była dwukrotnie wyższa od kopicy drugiego osła.

Rozdział IV: Widząc to, pierwszy osioł zaryczał: „Ha! ha! Czyż mógłbym się uważać za większego osła, niż on?" I w ciszy nocnej spustoszył pięć akrów pastwiska, by ponownie zgromadzić stóg siana.

Rozdział V: Drugi osioł, widząc, co uczynił pierwszy, wyrwał wszystka trawę, jaką mógł jeszcze znaleźć, byleby tylko podwyższyć swoją kopicę.

Rozdział VI: Ponieważ trawy już zabrakło — oba osły zdechły z głodu.

JÓZEF PONIATOWSKI

POTRZEBA DECYZJI

Jakkolwiek zniesienie reglamentacji cen artykułów pierwszej potrzeby musi wywołać doraźne reperkusje ujemne, śmiałe i zdecydowane zlikwidowanie tej anomalji leży w niewątpliwym interesie całego gospodarstwa społecznego.

Dekret, przedłużający o dalszy rok reglamentację cen artykułów pierwszej potrzeby już się ukazał. Samo zagadnienie straciło wobec tego chwilowo aktualność i właśnie dlatego winno być „sine ira et studio" rozważone i rozstrzygnięte. Dobrze więc zrobiła redakcja „Gazety Polskiej" — tego samego pisma, na łamach którego tak niezbicie wykazywał p. minister Matuszewski, że „cenami komenderować nie można" — zamieszczając w numerze z dnia 1 września interesujący artykuł p. J. W. p. t. „Regulowanie cen w drodze administracyjnej".

Sam spór o dalsze utrzymywanie reglamentacji cen produktów przemiału i wypieku, oraz mięsa i cegły przedstawia obraz nieco osobliwy. Ci, przeciw którym reglamentacja wydaje się być skierowana. t. j. kupcy, młynarze, piekarze, rzeźnicy, przystosowali się jakoś nieźle do jej istnienia, co też stwierdza p. J. W., mówiąc, że „sfery gospodarcze" domagają się nie tyle wolnego obrotu, ile przelania uprawnień władz administracyjnych w zakresie regulowania cen na organa samorządu gospodarczego, względnie organizacyj zawodowych". Atak przeciw reglamentacji prowadzony jest natomiast przez ogół rolników przy współdziałaniu ekonomistów, zwłaszcza pokroju mniej lub więcej liberalnego, którym regulowanie administracyjne jednego i to nader trudnego odcinka życia gospodarczego wydaje się nielogiczne i nieskuteczne, a już przez to samo — szkodliwe *). Gdy jednak druga strona, t. j. kompetentna władza nie obala bynajmniej wysuniętych argumentów, ale reglamentację utrzymuje, — dyskusja przypomina ludowe przysłowie: „Dziad swoje, baba swoje". Rząd nie unika wprawdzie uzasadniania reglamentacji. W ostatnim roku czyniono poważne wysiłki dla rozproszenia obaw rolników, a to przez autorytatywne stwierdzenie, że akcja regulowania cen nie dąży wcale do obniżenia cen u producenta wiejskiego. a jedynie do zmniejszenia marży pośredniczej. Oświadczenia te są nad wszelką wątpliwość szczere, a plotki o antyrolniczych nastrojach w Rządzie może uczciwie powtarzać tylko ignorant. Pomimo to, trudno się dziwić, że obawy rolników nie zostały rozproszone. Odczuwają oni bowiem nie *cele*, przyświecające inicjatorom zarządzeń, ale *skutki* tych zarządzeń. Nie dostarczono zaś jakiegobądź dowodu, że zależność ceny u producenta od ceny detalicznej została unicestwiona. Nie dostarczono również odpowiedzi na głosy ekonomistów, zwracających uwagę na dystans. dzielący na tym odcinku zamierzenia od osiągniętych skutków, stanowiący znakomite potwierdzenie tego, że „cenami nic można komenderować".

W tych warunkach nie było wspólnej płaszczyzny do dyskusji, co nie dowodzi, aby przedmiot nie był jej wart. Wspomniany artykuł p. J. W. jest próbą znalezienia tej wspólnej płaszczyzny, próbą tem pożyteczniejszą, że pochodzi od zwolennika utrzymania, narazie, reglamentacji. Autor zna i docenia argumenty ekonomiczne, przemawiające za jej zniesieniem; z artykułu przebija obok opanowania metody rozumowania ekonomicznego niepowszednia znajomość praktycznych warunków handlu, zwłaszcza mięsnego, w Polsce. Główny tok myśli rozumiem jak następuje: administracyjne regulowanie cen jest rzeczą w zasadzie złą i niedorzeczną; nie powinno dlań być miejsca w idealnych warunkach wolnego i płynnego rynku; musi jednak być utrzymane w Polsce, jako zło konieczne, wskutek specyficznych warunków chaosu rynkowego i braków technicznych, zanim właściwa organizacja pozwoli się bez niego obejść. Sądzę, że reglamentacji w naszych warunkach można logicznie bronić tylko mniejwięcej w ten sposób, jak to czyni p. J. W., chyba, że się jest wyznawcą regulowania wszelkich procesów gospodarczych i uważa się za pożyteczny każdy krok w tym kierunku. Spieranie się z tem ostatniem stanowiskiem byłoby bezcelowe, natomiast bliższe rozważanie poglądów, wyrażonych w artykule p. J. W., jako wysoce reprezentatywnych dla sfer popierających stan istniejący, wydaje się wskazane.

Z charakterystyką chaosu rynkowego, braków technicznych, niefachowości handlujących, stosunków kredytowych, podaną przez p. J. W. nie sposób się nie zgodzić: nie jest bynajmniej przejaskrawiona. Nie jest zato konieczne wyciąganie stąd wraz z Autorem wniosku, że wolnej konkurencji w handlu mięsem wogóle niema, a nawet: „Powoływanie się w dzisiejszych warunkach na wolną konkurencję byłoby chowaniem głowy w piasek". Już sama definicja wolnej konkurencji nasuwa wątpliwość. „Pod pojęciem tem należy rozumieć wolną grę tych wszystkich czynników, które kształtują cenę: fachowość handlującego, warunki finansowe i techniczne, przepisy administracyjne, jawność cen i t. d." pisze p. J. W. Zapewne, brak „wolnej gry" w zakresie tych czynników, może nieco paczyć wolność konkurencyjną, która nie będzie doskonała. Nie należy jednak utożsamiać nierówności z brakiem wolnej gry. Ani fakt. że jeden kupiec jest fachowcem, a ponadto ma tani kredyt, a drugi jest kiepskim dyletantem i ma trudności pieniężne, ani możność posługiwania się przez jednego chłodnią, której drugi jest pozbawiony, nie przeczą wolności konkurencji. Wolna konkurencja, rozumiana, jako równość warunków dla wszystkich nie była zrealizowana nigdy i nigdzie, natomiast wolna konkurencja, jako najlepszy, bo jedynie skuteczny regulator stosunków gospodarczych istnieje tam wszędzie, gdzie właśnie panuje chaos, gdzie nie została nasunięta bądź przez organizację bądź przez reglamentację. Nie wiem, jaką konkretną treść chciał Autor za-

*) Krótkie uzasadnienie tego poglądu znajdzie Czytelnik w uwadze mojej p. t. „Komisje Cennikowe", w n-rze 5 „Gospodarki Narodowej" z 1931 r.

wrzeć w zdaniach: „Wolną konkurencję trzeba z wielkim wysiłkiem stworzyć. Stworzenie jej równoznaczne będzie właściwie z rozwiązaniem zagadnienia organizacji handlu“. Mnie się to przedstawia nieco inaczej: im dalej jesteśmy od możności przyjęcia przez daną gałąź ściślej organizacji, tem bardziej niezbędną staje się wolna konkurencja, której w dodatku nie trzeba stwarzać, a wystarczy ją przywrócić przez przecięcie krępujących konkurencję więzów reglamentacji. Równocześnie możemy pracować z pożytkiem nad podniesieniem fachowości kupców, pobudowaniem chłodni i magazynów, poprawą stosunków pieniężnych, a więc nad stworzeniem warunków usprawnienia wymiany, co nie oznacza bynajmniej narzucenia jej więzów organizacyjnych.

Potępienie reglamentaacji cen i dążenie do jej zniesienia nie wymaga ani zachwytu nad układem stosunków, jaki panował w handlu artykułami pierwszej potrzeby przed wprowadzeniem reglamentacji, ani wiary, że po jej zniesieniu kształtowanie się cen będzie najpomyślniejsze dla ogółu. Cały szereg czynników, wymienionych i niewymienionych przez p. J. W. składa się na to, że handel w omawianych dziedzinach.a w szczególności w branży mięsnej, nie jest zdrowy. Niestety jednak, reglamentacja nietylko nie może zdrowia naturalnego zastąpić, ale nawet sprzyja trwaniu marazmu. Sztucznie bowiem niwelując warunki sprzedaży przeciwdziała naturalnej selekcji handlujących, zupełnie analogicznie, jak to czyni np. kartel. Nadto zmusza kupców do zastąpienia normalnej kalkulacji kupieckiej kalkulowaniem często zupełnie fikcyjnych argumentów dla komisyj cennikowych i zdejmuje z przedsiębiorców naturalną odpowiedzialność za właściwą kalkulację ceny sprzedażnej.

Właściwym celem reglamentacji, według oficjalnych zapewnień, jest zmniejszenie nadmiernej marży pośredniczej. Otóż brak dotąd jakiegokolwiek dowodu, aby cel ten został osiągnięty, choćby w najsłabszym stopniu. Zapewne, lokalnie i chwilowo, zakaz starosty mógł nie dopuścić zwiększenia marży, ale zato istnienie cen regulowanych niweczy procesy samoczynnie obniżające wybujałość w tej dziedzinie. Istnieje wprawdzie popularna legenda o tem, jakoby przy wzroście cen zboża, ceny chleba wzrastały jeszcze silniej i natychmiast, a przy spadku cen zboża spadały słabiej i z opóźnieniem. Gdyby tak było, to w dłuższym okresie czasu, po kilku kolejnych zwyżkach i zniżkach, marża powinnaby się conajmniej podwoić. Wystarczy jednak przyjrzeć się krzywym cen żyta, mąki i chleba za kilka lat poprzedzających wprowadzenie reglamentacji, by stwierdzić, że dystans między krzywemi nie ujawniał wówczas wcale tendencji wzrostu. Łatwo również zauważyć, że w okresach zniżki cena chleba spada łagodniej niż cena żyta, ale w czasie zwyżki wzrasta również łagodniej, a zatem wzrost cen sprzyja zmniejszaniu się marży pośredniczej i to nietylko w liczbach względnych, ale i w absolutnych. Zjawisko większej elastyczności cen surowca od cen przetworu i cen u producenta od cen u detalisty jest ogólnie znane i powszechne. Sztuczne związanie tych cen, stabilizujące bądź ich proporcję, bądź też różnicę arytmetyczną między niemi, może, o ile jest wykonalne, ograniczać marżę w okresach spadku, ale zato chroni ją od zmniejszenia w okresie wzrostu cen. Jest wszak rzeczą jasną, że narzucone ceny maksymalne stanowią równocześnie ceny minimalne.

Ujemne strony reglamentacji cen byłyby znacznie złagodzone, gdyby można nią było objąć *wszystkie* ceny, co na dzisiaj wydaje się mrzonką. Tak jak jest dzisiaj stanowi ona, wbrew intencjom jej twórców, narzędzie zakłócające równowagę grup społecznych. Już istnienie cen regulowanych przez monopolistów stwarza ujmę dla interesów tych grup, które nie są w stanie stworzyć organizacji monopolowej, a więc przedewszystkiem dla rolników. Ceny bowiem artykułów, które muszą nabywać, kształtują się, dzięki organizacji, wyżej niżby to miało miejsce przy wolności rynku, gdy ceny artykułów, które sprzedają muszą się dostosować do poziomu konkurencji. Reglamentacja daje cenę sztuczną także pośrednio dla płodów rolnych, ale tem się różniącą od regulacji cen przez kartele, że tam się ogranicza cenę od dołu, tu zaś — od góry, a więc skutek jest wprost odwrotny. Rolnik płaci drożej niż w warunkach wolnej konkurencji za to, co nabywa, ale wzamian nie pozwala mu się na skorzystanie choćby z cen konkurencyjnych dla tego, co sprzedaje. Należy także mieć na uwadze, że poprzednio miał on do czynienia z równie niezorganizowaną rzeszą nabywców, gdy reglamentacja stwarza lokalne organizacje pośredników (t. zw. ringi kupieckie), które od porozumiewania się co do żądań w zakresie ceny sprzedażnej łatwo przechodzą do porozumienia w sprawie zakupu.

Najważniejszym i naprawdę jedynym realnym argumentem przeciw natychmiastowemu zniesieniu reglamentacji cen przedmiotów pierwszej potrzeby jest obawa przed *doraźnemi* skutkami takiego zarządzenia. Wiemy, że próby lokalnego zawieszenia reglamentacji sprowadziły skutki zdecydowanie ujemne. Wspomina o nich także p. J. W. w cytowanym artykule. Niewątpliwie, skoro wolną konkurencję zastąpiono przez instytucję cen regulowanych, to w razie ich zniesienia musi powstać próżnia, zanim konkurencja ponownie zacznie działać. Tam, gdzie reglamentacja stworzyła ring kupiecki, a pewnego dnia ograniczenie ceny zniknie, nic łatwiejszego jak wyzyskać porozumienie dla zgodnego podnoszenia cen. Czy jednak niema na to lekarstwa? Najskuteczniejszem jest oczywiście — czas. Doświadczenia, o których p. J. W. wspomina trwały zbyt krótko. Utrzymanie organizacji, wymagającej pewnego podporządkowania interesów, wśród grupy licznej i naogół ciemnej nie jest łatwe. To też po ustąpieniu czynnika, który niejako zmuszał do organizacji, porozumienia i ringi będą się rozlatywały równie szybko, jak powstawały. Zbyt wysoka kalkulacja ceny sprzedażnej, dając duże zyski jednostkowe, zachęca do zwiększenia rozmiarów sprzedaży, przez odebranie klijentów konkurentom. Dla przyśpieszenia tego procesu i złagodzenia wstrząsu, możnaby poprzeć doraźnie outsider'ów, a zwłaszcza wyzyskać do tego celu spółdzielnie. Byłby to interwencjonizm, ale lepszy od reglamentacji już choćby przez to, że przejściowy. Dużo mogłoby zdziałać usprawnienie techniczne, zwłaszcza w zakresie transportu, uniemożliwiając powstawanie lokalnych ośrodków nieusprawiedliwionej drożyzny. Piękny przykład znajdujemy znowu w omawianym artykule. Oto niemożność przechowania towaru (mięsa i zwierząt) zmusza kupiectwo warszawskie do poro-

zumień dla zapobieżenia wszelkiemu nadmiarowi podaży. Ale zmowy są zakazane. „Funkcjonarjusz policyjny zareaguje na zmowę karą administracyjną, — pisze jaknajsłuszniej p. J. W. — urzędnik - ekonomista winien dążyć do stworzenia chłodni i stajen". Otóż to właśnie. Gdyby Autor zastosował to rozumowanie w całej rozciągłości, bylibyśmy w zupełnej zgodzie i zamiast nużyć czytelników „Gospodarki" polemiką doradziłbym im tylko przeczytanie odpowiedniego numeru „Gazety Polskiej". Kierownicy zaś odnośnego działu polityki gospodarczej Państwa winni powziąć jaknajprędzej decyzję, czy kierować się w zarządzeniach wielkiej dla całego społeczeństwa wagi należy psychiką „funkcjonarjusza policyjnego", czy też „urzędnika - ekonomisty".

KAROL STASZEWSKI

WZÓR A NAŚLADOWNICTWO

Jeżeli jedną z przyczyn europejskiego kryzysu gospodarczego było ślepe naśladownictwo amerykańskich wzorów, to, jednym ze sposobów wyjścia z kryzysu powinna być własna myśl twórcza.

Przed wojną w Europie mało się interesowano Ameryką. Znaliśmy ją głównie jako dobrą lokatę kapitałów. Był to kraj wielkich możliwości. Tysiące ambitnych, przedsiębiorczych europejczyków wędrowało za morze w poszukiwaniu złotego runa. Najzdolniejsi pozostawali tam za zawsze i wielu z nich dorobiło się wielkich fortun. Życie duchowe Ameryki mało było znane. Stało ono pod wpływami pierwszych emigrantów, którzy przybyli na pokładzie „Mayflower" do Ameryki. Nie mieliśmy zaufania do wiadomości, przychodzących z drugiej strony Atlantyku. Popularyzowało się w Europie słowo: „humbug", które, zdaniem naszem, najlepiej określało życie amerykańskie. Przeciętny europejczyk słyszał o dwóch znakomitych amerykaninach, o Edisonie i Marku Twain'ie. Tego ostatniego nowelka pt. „Jak redagowałem gazetę rolniczą" była w oczach naszych znakomitą i zjadliwą charakterystyką amerykańskiej ignorancji.
Wielka wojna całkowicie zmieniła nasz stosunek do Ameryki. Ma się wrażenie, żeśmy w XX stuleciu odkryli Amerykę po raz drugi. Europie zubożałej, wyniszczonej wojną zaimponowała naszemi pieniędzmi zbogacona Ameryka. Ale w gruncie rzeczy nic się w Ameryce nie zmieniło. Życie tamtejsze rozwijało się dalej w swoich specyficznych warunkach i pozostawało tak samo niezrozumiałe, jak było przed wojną. Wszakże w czasie, kiedy w Europie ginęły miljony ludzi i niszczono miljonowe wartości, tam, w Ameryce, podnosiła się stopa życiowa wszystkich warstw społeczeństwa. Farmer, robotnik, kupiec, czy fabrykant zarabiali świetnie pracą i na giełdzie.

Poczuliśmy się słabi i zacofani w porównaniu z nimi. Chcieliśmy odrobić stracony czas. Zdawało się nam, że wystarczy pojechać do Ameryki, podpatrzeć tamtejsze życie gospodarcze, zastosować zdobycze amerykańskie w Europie i nie tylko, że zasklepi się rany, zadane wojną, ale zrównamy naszą stopę życiową z amerykańską. Zaczęła się nowa emigracja do Ameryki nie tak liczna, jak przed wojną, gdyż o zupełnie innym charakterze. Tym razem nie jechano szukać chleba. Prawa emigracyjne strzegły zazdrośnie wysokich płac pracowników amerykańskich. Jechano po *wiedzę* do tej, do niedawna tak lekceważonej, Ameryki. Płynęły za morze komisje wszystkich państw europejskich studjować przemysł i handel, bankowość i organizacje przemysłowe. Europejski rynek księgarski zapełnił się dziełami amerykańskiemi. Ogłaszano w czasopismach sprawozdania komisyj lub pojedyńczych wybitnych podróżników, ale zdaje się, że cel przyświecający tym wszystkim, studjującym życie amerykańskie, nie pozwalał na zrozumienie warunków, w których to życie powstało. Ta nieznajomość genezy musiała pociągnąć za sobą to *wielkie nieporozumienie amerykańskie.* Okazało się w życiu, że metody amerykańskie nie nadają się do stosunków europejskich. Podróżnicy europejscy bardzo sumiennie badali stosunki amerykańskie. Przywieźli ze sobą kolosalny materjał faktyczny, ale rezultat tego wysiłku okazał się fatalny. Dobrobyt amerykański ani na chwilę nie zawitał do Europy.

Rozpatrzmy główne zasady amerykańskie, przeszczepione na grunt naszej rzeczywistości:

Przedmiotem specjalnego zachwytu była t. zw. organizacja pracy i ściśle z nią związana mechanizacja pracy. Pierwsze początki tej organizacji powstały w Ameryce bardzo dawno, bo już w osiemdziesiątych latach XIX wieku. Twórca był inżynier Taylor, pracujący w hutach żelaznych, położonych w stanie Alabama. Huty stale cierpiały na brak robotnika i przed inżynierem Taylorem stanęło zagadnienie wyładowywania wielkich ilości rudy za pomocą ilości ludzi, stojących do jego dyspozycji. Bardzo żmudna obserwacja, dobieranie odpowiednich i bardzo silnych robotników doprowadziły Taylora do znakomitego podniesienia wydajności pracy. Trzeba zauważyć, że Taylor nie był skrępowany wysokością płac robotniczych i mógł ich zachęcać do tak wytężonej pracy odpowiedniem wynagrodzeniem. Swoje nader ciekawe obserwacje wydał następnie w formie książki, w której wskazał główne wytyczne, jakiemi należy się kierować przy rozwiązywaniu podobnego zadania. Mam wrażenie, że gdyby Taylor pracował w Rosji, gdzie do dyspozycji była dostateczna ilość taniego, ale słabego robotnika, nigdyby nie powstało jego dzieło z tej prostej racji, że tam nigdyby nie powstało zagadnienie, które doprowadziło do powstania zasad naukowej organizacji pracy. Jego najwybitniejszy uczeń Emerson mógł poświęcić kilka lat pracy na studjowanie techniki murowania, bo w gwałtownie rozwijających się miastach amerykańskich i ściśle z tem [illegible] wysokich cenach ziemi szybkość budowania przy pomocy małych ilości murarzy była kwestją kalkulacji handlowej. W Ameryce opłaca

się budować drewniany dom ogrzewany, otaczający dom murowany w trakcie pracy, byle tylko mieć możność nie przerywać budowy podczas surowej zimy nowojorskiej.

Po Taylorze i Emersonie przyszedł Ford, który stał się po wojnie symbolem wielkości Ameryki. Czytaliśmy z zaparciem tchu jego książki. I to, co nas śmieszyło w nowelce Marka Twain'a, urosło u Forda do mądrości filozoficznej. W pamiętnikach wspomina on, że nie uznaje fachowców, powierza kierownictwo swych fabryk ludziom, nie mającym pojęcia o danej fabrykacji. Tylko człowiek świeży, nie obarczony tradycją, przesądami i wiadomościami nabytemi przez studja, może stworzyć nowe i lepsze metody fabrykacji. Czy głębsza myśl, zawarta w nowelce Marka Twain'a, nie jest identyczną z myślą przewodnią pamiętników Forda? Ford poszedł dalej od Taylora, który chciał stworzyć takie warunki pracy, w jakich człowiek może wytworzyć bez udziału maszyny maksimum dóbr. Ford postanowił w miarę możności eliminować człowieka. Maszyna powinna zastąpić człowieka. W ten sposób powstaje taśma ruchoma, automatyczna narzędziarka i t. d.

Ford w dużym stopniu mechanizował swoje fabryki za pieniądze, które mu płaciła Europa za samochody, potrzebne do przewożenia żołnierzy lub amunicji na pole bitwy. Wielki fabrykant samochodów zdawał sobie sprawę, że mechanizacja zmienia całkowicie główne części składowe kosztów produkcji. Robocizna nie grała w jego kosztach głównej roli. Amortyzacja i oprocentowanie kosztownych urządzeń stały się najważniejszym czynnikiem kosztów. Uwaga jego skierowała się na obniżenie t. zw. stałych kosztów, a zupełnie lekceważył koszta zmienne. Hasłem stało się: dużo produkować! Bo każde tysiąc dziennie więcej sprzedanych samochodów obniżało znacznie koszta własne. Wysokość zarobków nie grała większej roli, stałe podnoszenie płac w olbrzymich zakładach w Detroit zmuszało cały przemysł amerykański do naśladowania Forda. Wszyscy produkowali odbiorców Forda. Jednocześnie obniżał on cenę swoich fabrykatów, byle tylko coraz bardziej rozszerzać krąg swoich odbiorców. To było przewodnią myślą Forda.

Europa poszła w jego ślady. Racjonalizowała, mechanizowała swoje zakłady za drogie, pożyczone pieniądze, a jednocześnie zwężała swój rynek zbytu. Przemysł domagał się od rządu coraz to silniejszej ochrony celnej, skazując sam siebie na maleńkie rynki wewnętrzne. W tych warunkach nie było mowy ani o podniesieniu zarobków, ani o obniżeniu cen wytworów przemysłowych. Zresztą obniżenie tych cen nie leżało w intencji przemysłu europejskiego, gdyż głównym celem wysokiej ochrony celnej było utrzymanie ceny na nieosiągalnej nigdy wysokości rentownej. Czyż dziwnem jest, że w tych warunkach system Forda, który nie zdał egzaminów w samej Ameryce, w Europie musiał wyrządzić kolosalne straty?

Obok Forda, europejczycy podziwiali w Ameryce wielkie syndykaty i trusty, wciskające przemysł w jakieś, jak się zdawało, nowe formy. I znów nie umiano wniknąć w sedno sprawy. Największy trust amerykański Standart Oil i jego satelici, powstał dzięki niezwykłej jednostce: Rockefellerowi. On był pierwszym, który jasno zdawał sobie sprawę z doniosłości kosztów transportu, przy tak tanim produkcie, jak ropa naftowa. Opanował linje kolejowe, mające decydujące znaczenie dla transportu nafty, żeby otrzymać zniżkę od przewozu swojego surowca. Kiedy prawo zabroniło towarzystwom kolejowym udzielania rabatów, Rockefeller zastosował rurociągi dla pompowania ropy naftowej. Ten wynalazek Rockefellera uczynił Standart Oil największym producentem nafty i zapewnił firmie dominujące znaczenie na rynku wszechświatowym. Ale wiemy, że dzisiaj, kiedy „pipeline" stało się dobytkiem całego świata i nie znalazł się nikt w Standart Oil, któryby zdolny był do uczynienia równie przełomowego wynalazku, to znaczenie tej firmy musiało upaść. Obecnie powstała nietylko w Ameryce, ale i w innych częściach świata konkurencja, z którą Standart Oil musi się dzielić rynkiem, na którym w swoim czasie panował niepodzielnie.

Drugi potężny trust, United Steel, zawdzięcza swe powstanie Carnegie i Gara, którzy pierwsi zrozumieli, że przy dzisiejszym stanie techniki przemysł stalowy rozwijać się może w pobliżu pokładów rudy, a nie, jak dotychczas, w bliskości kopalń węgla koksującego. Zerwanie z tradycją, prawidłowa ocena rzeczywistości uczyniła z ich tworów najpotężniejsze przedsiębiorstwo hutnicze.

Europie zdawało się, że wystarczy, żeby kilkunastu panów, zajmujących odpowiedzialne stanowiska w danej gałęzi przemysłu zasiadło przy zielonym stole i ułożyło warunki porozumienia co do cen i rozdziału rynku, żeby powstał zdolny do życia syndykat. Mniemali, że kładąc swoje podpisy pod umowy syndykackie, będą w stanie zmienić prawa ekonomji i zapewnić rentowność swoim przedsiębiorstwom. Dzisiaj widzimy, że życie okazało się mocniejsze od wszelkich umów. Te eksperymenty kosztowały zubożałą Europę mało co mniej od wielkiej wojny. Można powiedzieć, że kapitalizm mści się za wszystkie uchybienia, które ludzie uczynili jego zasadom.

Wpływ Ameryki nie ograniczył się do objawów życia ściśle gospodarczego. Widzimy przejawy tego wpływu między innemi w architekturze. Banki amerykańskie budowały luksusowe gmachy, które miały świadczyć o finansowej potędze ich właścicieli i przekonywać publiczność, że z całem zaufaniem mają składać w skarbcach swe pieniądze. U nas takie monumentalne gmachy budują banki, dla których szerokie warstwy społeczeństwa jako klijenci nie grają żadnej roli. Posiadają one przywilej korzystania z przymusowych oszczędności, zabieranych ludności w postaci podatków, z których rząd hojną ręką zasila kasy tych instytucyj. Drożyzna terenów oraz skalisty grunt Nowego Yorku wytworzyły nową architekturę amerykańską, której wykładnikiem były drapacze nieba. Ale owe tereny były jednocześnie owocem ścisłej kalkulacji. Jeżeli na kiepskim gruncie, którego cena jest stosunkowo niska, buduje się w Polsce na modłę amerykańską drapacze nieba, to w tym wypadku jest to naśladownictwo niczem nie uzasadnione.

Potrzeby życia amerykańskiego zmusiły amerykańskich architektów do ograniczenia wielkości mieszkań. Powstały domy o lilipucich pokojach z szafami i łóżkami, umieszczonemi w ścianach. I w tem również Europa zaczęła naśladować Amerykę. Zapomniano o zupełnie innych warunkach życia, o tych wszystkich udogodnieniach, z których korzysta

amerykanin, a o które tak trudno w Europie. W amerykańskich miastach istnieją wspaniałe czytelnie, ufundowane przez bogaczy, znakomite i dostępne dla tamtejszych stosunków środki lokomocji, a przedewszystkiem już oddawna rozpowszechnione życie klubowe. Ludzie w Ameryce mają możność traktowania mieszkania jako miejsca noclegowego. U nas obywatel polski musi mieszkać, a nie nocować w swojem mieszkaniu, gdyż warunki życia naszego zmuszają go do spędzenia wolnego czasu w swoim domu.

Po wojnie fala pesymizmu opanowała Europę. Nie wierzymy w swoje siły do opanowania sytuacji. Zdawało się, że można kopjowaniem cudzych wzorów, przejętych bezkrytycznie, podnieść dobrobyt, zagoić rany, zadane wojną. Dzisiaj widzimy nasze nadzieje rozbite i musimy się zdobyć na uczynienie prawdziwego wysiłku dla odnalezienia własnych dróg do odbudowy naszej ojczyzny. Może ta bolesna nauka, którą obecnie otrzymaliśmy, przekona nas, że odrodzenie zależy od nas samych, że rozporządzenia ani też cudze wzory nie uzdrowią naszych stosunków gospodarczych. Wytężony wysiłek umysłowy, własna myśl twórcza, wiara we własne siły każdego obywatela, jego wytężona praca są jedynemi niezawodnemi środkami do walki z kryzysem.

KAZIMIERZ BRODNICKI

NA FAŁSZYWEJ DRODZE

Postępy wiedzy technicznej powodują daleko idące przewroty gospodarcze. Wiedza, nie wsparta świadomością ekonomiczną, może jednak powodować dotkliwe straty dla gospodarstwa społecznego.

Rzeczpospolita Chili, której głównem źródłem dochodu narodowego jest saletra, musiała być dumna ze swej roli, jaką odgrywała wobec rolnictwa, które bez saletry sodowej nie mogło powiększyć plonów w takim stopniu, aby zapobiec realizacji ponurych przepowiedni. Malthusa. Amerykańskie państewko nie zdawało sobie coprawda sprawy, że po upływie 100 lat złotodajna saletra byłaby wyeksploatowana doszczętnie. Przed tą groźną katastrofą ocalili ją— a z nią i całe rolnictwo wszechświatowe — uczeni chemicy. Odkrycia Habera i Boscha, Franka i Caro, prezydenta Mościckiego, Birkelanda i Eyde'go dokonały w dziedzinie zaopatrywania rolnictwa w nawozy sztuczne ogromnego przewrotu. Dzięki ich zdobyczom, jak wyrób amonjaku syntetycznego, azotniaku wapnia, saletry wapniowej i kwasu azotowego z powietrza usunięta została zależność od republiki chilijskiej i ocalono rolnictwo przed niebezpieczeństwem stabilizacji produkcji.

W 1747 r. chemik niemiecki Marggraf odkrył cukier w buraku, a w 1802 r. Achard wybudował na Śląsku pierwszą cukrownię. Ich wysiłek byłby zapewne jednak zmarnowany, gdyby nie anty-angielska polityka Napoleona I. Mimowolna współpraca męża stanu i wodza z uczonym stworzyła europejski przemysł cukrowniczy, źródło pokaźnych zysków, wielki składnik w dochodzie narodowym szeregu państw.

W 1904 r. amerykanin Ewen wynalazł sposób, przy pomocy którego można wyrabiać alkohol z drzewa. W 12 lat potem dokonano jeszcze większego wynalazku: z acetylenu wytwarza się aldehyd octowy, który w połączeniu z wodorem daje alkohol. Przy tej okazji można produkować wielką ilość innych związków aż do sztucznego kauczuku włącznie. W ten sposób uboga w zboże i ziemniaki Szwajcarja całe swoje zapotrzebowanie pokrywa spirytusem, pochodzącym z acetylenu. Państwa rolnicze mają powód do niezadowolenia.

Chardonnet w 1890 r. wynajduje metodę przerabiania kolodjum na — jedwab sztuczny. Dzisiaj jego metoda jest w zapomnieniu, jedwab sztuczny otrzymuje się bowiem systemem miedziowym lub jeszcze częściej wiskozowym, tem niemniej wyrób jedwabiu sztucznego przewyższył po 1920 r. produkcję jedwabiu naturalnego, a państwa europejskie, uniezależnione w tym względzie od Azji, znalazły nową i bogatą gałąź gospodarstwa narodowego.

Azja ponosi również porażkę od Europy w zakresie — barwników. Indygo, które w swoim czasie wyparło produkcję niemieckiego urzetu, musiało z kolei ustąpić miejsca naftalinie, wydobywanej z mazi pogazowej. Chemik Bayer i wielkie niemieckie fabryki chemiczne wzięli rewanż za przegraną ich pradziadów z Turyngji i kiedy w 1894 r. Indje dostarczyły indyga za 150 milj. zł., to w 16 lat później już tylko za 12 milj. zł. Kilogram indyga naturalnego kosztował 18, sztucznego zaś 15 złotych.

Żelazo produkowano na wiele setek lat przed nową erą. Było go niewiele, wytwarzano je sposobami prymitywnemi. Średniowiecze i wieki nowożytne nie wprowadziły tutaj większych, istotnych zmian. Produkcja żelaza była — toute proportion gardée — na tym samym poziomie w VIII, co i w XVIII stuleciu. Dopiero wiek XIX rewolucjonizuje wytwórczość żelaza: powstają wielkie piece hutnicze. Ale i wielkość pieca hutniczego jest rzeczą względną: w 1800 r. piec, obsługiwany węglem kamiennym, daje 4 t. surowca dziennie, obsługiwany koksem — 4.5 tonny. W 1875 r. piec taki wytwarza już 100 t. dziennie, obecnie około 400 t. Gdy na początku ub. stulecia na 1 t. surowca szło 8 tonn koksu, dzisiaj idzie zaledwie 1 tonna. W nawiasie jednak dodajmy, że rudę żelazną, koks i dodatki, niezbędne do wytwarzania wspomnianych 400 t. surówki, musi przewieść ok. 120 wagonów 15-to tonnowych. Bez wynalazku Watta i Stephensona tak wielka produkcja byłaby wogóle niemożliwa.

W 1784 r. anglik Cort opatentował sposób, dzięki któremu żelazo kujne, otrzymywane dotąd z przekuwania sztab żelaznych w piecu kowalskim, można produkować szybko i tanio w t. zw. piecu płomiennym (pudlowanie). Tenże Cort wprowadza na rynek żelazo walcowane. Pozostaje jednak szereg dziedzin, do których technika i chemja hutnicza na-

próżno usiłują się dostać. Stal jednorodna, wyrabiana przez anglików systemem Hundsmanna (który był zegarmistrzem), była tak droga, że aż zachęciła do pilnych i skrzętnych poszukiwań w Niemczech, gdzie wreszcie w połowie ub. w. udało się Kruppowi wytworzyć stalowe walce polerowane i lufy stalowe do armat.

Dzięki temu wynalazkowi Krupp przed wojną zatrudniał 100.000 robotników, a jego konsument, północno - amerykański trust stalowy, podwójną liczbę tychże. Równie doniosły wynalazek daje światu Bessemer. W 1856 r. oznajmia on, że stal odlewna, która dotychczas kosztowała ok. 2.400 zł. za 1 t., może być produkowana w cenie 10-cio krotnie niższej. I dotrzymuje słowa.

Nakoniec chemicy zdobywają dla życia gospodarczego glin (aluminjum). Zawdzięczając metodzie elektrycznej, produkcja glinu wzrasta ilościowo i jakościowo, a jego cena z 2.000 zł. za 1 kg. (1855 r.) spada do 2,3 zł. (1911 r.). Dzisiaj wytwarza się go w ilościach ponad 200.000 t. rocznie (1928—1929).

Przytoczyliśmy ten długi szereg wynalazków i odkryć nie po to, żeby olśnić czytelnika erudycją, lecz by mu odpowiedzieć na pytanie, czy i w jakim stopniu wiedza odpowiedzialna jest za kryzys gospodarczy. Przecież z okazji stuletniej rocznicy znanego „British Association" i zjazdu uczonych, jaki się z tego powodu odbył w York, londyński „Daily Express" wystąpił z wielce wymowną — karykaturą. Przedstawia on olbrzymiego „robota", który miażdży w ręku nieszczęsnego człowieczka (podatnika angielskiego), podczas gdy uczony, który tę maszynę skonstruował, z okrzykiem grozy i rozpaczy: „Zostaw tego człowieka w spokoju!" chowa się czemprędzej za fotel. Obok zaś naszkicowano obrazek, wyobrażający mały automat również o ludzkich kształtach i siedzącego przy nim wynalazcę w stroju z przed 100 lat, który mówi: „Co za cud" I gdy się pomyśli, że on (człowiek - maszyna) ma zbawić ludzkość?..."

Technicy i chemicy byli najgłębiej przekonani, że właśnie do zbawienia ludzkości służyć mają i *muszą* ich wynalazki i odkrycia. Dzięki chemji rolnictwo zdobyło możność masowej produkcji zboża, cukrownictwo stało się dla kilku krajów poważnem źródłem dochodu, jedne państwa uniezależniły się od drugich w dziedzinie produkcji alkoholu, barwników itd., produkcja żelaza, stali, aluminjum doszła do niebywałego rozkwitu i artykuły te dzięki swej taniości z niedostępnych stały się artykułami naprawdę pierwszej potrzeby. Dzisiaj jednak sami uczeni zdają się mieć wątpliwości, czy dobrze zrobili. Jeden z mówców, zabierających głos na zjeździe „British Association", twierdził, że pewność co do wartości postępu technicznego ustępuje miejsca — niepewności i zwątpieniu. „Czujemy, iż odeszliśmy zbyt daleko, że wkroczyliśmy na fałszywą drogę".

Czy jednak uczony sir Alfred Ewing miał rację? Czy może on uchodzić za reprezentanta poglądów nauki (nauk technicznych w szczególności) na współczesny kryzys gospodarczy? — Przecież jego „szanowny oponent", prof. Miles Walker, doszedł do wręcz przeciwnego zdania, że to nie uczeni winni, lecz — kierownicy życia gospodarczego. I dał na to przykład, analogiczny zresztą do wypadku, opisanego w „Gospodarce Narodowej" (Nr. 7 str. 105): Energja elektryczna kosztuje mniej niż pół pensa za kilowat — godzinę. Cóż z tego jednak, skoro instytucje czy osoby pośredniczące sprzedają ten prąd konsumentowi za cenę dziesięciokrotnie wyższą. I gdy pewien farmer angielski chciał płacić 1 — 2 pensów od 1 kWh., zapewniając odbiór 20.000 kWh. rocznie, koncesjonarjusze zgadzali się na 6 pensów. Dzisiaj ten farmer sam sobie (a więc nieekonomicznie) dostarcza prądu w cenie 3 pensów za 1 kWh. Dlatego też na usta profesora wysuwają się słowa oskarżenia: „Odsetki od kapitału tamują drogę postępowi. Wiedza już dawno znalazła środki, by życie uczynić znośniejszem, lecz nędza istnieje po dawnemu dzięki złej kontroli i głupim przesądom"... I dalej: „W dzisiejszym ustroju bardziej zyskownie jest handlować, aniżeli pracować!" Kiedy w miasteczku, posiadającem 20.000 mieszkańców, znajduje się 300 sklepików zamiast dwuch wielkich magazynów, obficie zaopatrzonych i dobrze zorganizowanych, to znaczy, że podział dochodu społecznego jest wadliwy i że kierownicy życia gospodarczego pozostają daleko w tyle za ludźmi wiedzy ścisłej, za chemikiem, fizykiem itp.

Praca tych ostatnich, która w ubiegłym stuleciu wydała ekonomicznie wspaniałe rezultaty, w chwili obecnej jest jakgdyby zmarnowana. Dumping cukru i żelaza (rozumiemy przecież jego konsekwencje dla rynku wenętrznego kraju — producenta) zdaje się zaprzeczać myśli przewodniej wynalazków i odkryć Marggrafa, Corta lub Bessemera. Istotą postępu jest wzrost a nie spadek produkcji.

Jeżeli się walczy z modnem a płytkiem powiedzeniem o „klęsce urodzaju", jeżeli się stawia jako swego rodzaju symbol chłopa, który rok rocznie jesienią wyjeżdża z pługiem na pole, to w równym stopniu należy mówić o konieczności przełamania psychozy nadprodukcji, wywołanej dzięki postępowi wiedzy. Należy mówić o tem, że zadaniem wytwórcy jest produkować coraz więcej i coraz lepiej, ale trzeba również dodawać, że obowiązkiem ekonomisty, polityka, działacza społecznego i „człowieka interesu" musi być zachowanie miary pomiędzy spożyciem i wytwórczością, celowe i świadome normowanie *zawczasu* tej drugiej, a wszechstronne rozwijanie tego pierwszego.

Rację miał Caillaux, gdy powiedział: „Science sans conscience est la mort de l'âme".

N O T A T K I

OBRÓT TOWAROWY PRZEZ GDAŃSK.

Gdańsk, idąc w myśl polityki rewizjonistycznej Niemiec, stale ma i zgłasza pretensje pod adresem Polski, między innemi ostatnio wystąpił z zarzutami, że Polska nie wykorzystuje Gdańska, jako portu, w należytym stopniu. Kwestja ta stała się przedmiotem badania specjalnej komisji, która sprawę na miejscu zbadała i jest w trakcie przygotowania swojej opinji.

Niezależnie od tej opinji, postarajmy się zbadać, jak port gdański jest wykorzystywany przez Polskę oraz porównajmy pracę portu gdańskiego z pracą portu w Gdyni — sięgnijmy do liczb, które w obfitości daje nam Główny Urząd Statystyczny.

Jak jest powszechnie wiadome, obrót handlowy Polski z zagranicą uległ poważnemu skurczeniu się w ostatnich kilku latach. Obrót towarowy odbywa się zarówno drogami lądowemi, jak i morskiemi.

Rozpatrzmy, jak się przedstawia przywóz i wywóz drogami lądowemi i morskiemi w granicach trzech ostatnich lat. Tablica poniżej przedstawia obrót towarowy w tysiącach tonn:

Przywóz	*drogi lądowe*	*drogi morskie*
1929	3.310	1.778
1930	2.441	1.130
1931	1.976	955
Wywóz		
1929	11.770	9.267
1930	8.515	10.407
1931	6.477	12.226

Widzimy, że przywóz drogami lądowemi i morskiemi maleje z roku na rok, jednakowoż w silniejszym stopniu drogami lądowemi. Wprost przeciwnie obserwujemy, że wywóz drogami lądowemi maleje, podczas gdy drogami wodnemi wzrasta z roku na rok. Świadczy to o tem, że handel zagraniczny polski zwrócił się ku morzu, dzięki polityce eksportowej rządu, który, dążąc do zwiększenia eksportu przez porty, poszedł na daleko idące zniżki w taryfach kolejowych.

Z liczb widzimy, że o ile jeszcze w roku 1929 wywóz przez morze wynosił mniej niż połowę ogólnej wagi wywożonych towarów, to w roku 1931 stanowi już dwie trzecie. Nadmienić jednak należy, że stosunek wartości towarów, wywożonych drogami lądowemi, a morskiemi przedstawia się zgoła inaczej, a mianowicie w roku 1931 wartość wywiezionych towarów drogą morską stanowi 369 miljonów złotych, gdy towary wywiezione kolejami stanowią wartość 1.099 milj. zł. Zrozumiałą jest rzeczą, że różnica powstała dzięki temu, że przez porty idą ładunki towarów masowych, podczas gdy towary droższe idą kolejami. Jednakowoż w roku 1931, jak będzie mowa dalej, nastąpiła poprawa, bowiem szereg towarów pchnięto ku morzu.

Istotę naszych dociekań stanowi jednak kwestja zatrudnienia portów, a więc przedewszystkiem wagowe określenie wywożonych towarów.

Stwierdziliśmy już rozwój wywozu towarów drogą morską, zajmijmy się zkolei zbadaniem, jaki udział w wywozie biorą porty Gdynia i Gdańsk.

Zestawmy najbardziej ogólne liczby z trzech ostatnich lat. Wywóz towarowy przez Gdańsk i Gdynię przedstawia się następująco w tysiącach tonn:

	przez Gdańsk	*przez Gdynię*
1929	6.865	2.402
1930	7.475	2.932
1931	7.653	4.573

Z zestawienia widzimy, iż wywóz wzmaga się z roku na rok zarówno przez Gdynię, jak i przez Gdańsk. Z tabliczki możemy wyciągnąć ważny wniosek, a mianowicie: że port Gdański, wyzyskany do maksimum, nie jest w stanie obsłużyć całkowicie handlu zagranicznego Polski i pozostałe torawy kierowane są ku Gdyni, której zdolność portowa i wielkość wzrasta z roku na rok.

Słowem, można twierdzić, że Polska posługuje się Gdańskiem w coraz większych granicach i że Gdynia nie stoi na przeszkodzie rozwojowi Gdańska.

Pretensje więc Gdańska są w zupełności nieuzasadnione, cośmy dowiedli powyżej.

Rozwój jednak wywozu przez Gdynię jest silniejszy, niż przez Gdańsk, co powstaje w związku z rozbudow Gdyni. W roku 1[illegible] w porównaniu z rokiem poprzednim wywóz przez Gdański wzrósł o 9 procent, przez Gdynię o 22 procent, w roku 1931 w porównaniu z 1930 wywóz przez Gdańsk wzrósł o 2 i pół procent, gdy przez Gdynię o 56 procent.

Głównym artykułem, wywożonym przez Gdynię i Gdańsk, jak znajdujemy w tablicy poniżej, jest węgiel. Wywóz węgla ogółem drogami lądowemi i wodnemi oraz przez Gdańsk i Gdynię podaje zestawienie w tysiącach tonn:

	wywóz ogółem	*przez Gdańsk*	*przez Gdynię*
1929	14.093	5.346	2.367
1930	12.697	5.659	2.817
1931	14.073	6.061	4.274

Tablica jasno przedstawia, że o ile wywóz węgla ogółem w r. 1931 pozostaje na poziomie roku 1929, to wywóz przez oba porty wzrósł znacznie.

Jeżeli od ogólnej masy towarów wywożonej przez Gdynię i Gdańsk odejmiemy węgiel, to stwierdzimy, że pozostałe towary stanowią stosunkowo małą wagę, jednak daje się obserwować z roku na rok rozwój wywozu szeregu towarów, które dawniej szły wyłącznie drogami lądowemi.

(Zob. tabliczki na str. 250).

Oto zestawienie wywozu najważniejszych towarów przez Gdańsk, a następnie przez Gdynię w trzech ostatnich latach w tysiącach tonn. Dla porównania podany jest ogólny wywóz (lądem i morzem) w roku 1931.

Są to główniejsze towary wywożone przez oba porty. Pominięte zostały towary, drobne ilości których nie da się ująć tysiącami tonn.

Zestawienie to nam jasno dowodzi, że polityka Polski zmierza ku wykorzystaniu Gdańska. Szereg towarów mógłby z powodzeniem być pchnięty wyłącznie ku Gdyni, jednak skierowany został ku obu portom, przeważnie nawet w większych partjach ku Gdańskowi ze szkodą Gdyni.

Bezpośrednio z kwestją efektywnej pracy portów wiążą się urządzenia portowe. Do niedawna zdawałoby się paradoksem porównanie urządzeń portowych Gdyni i Gdańska; Gdańsk — to stary port. Gdynia — młodziutka. A jednak! Gdańsk już do-

Wywóz przez Gdańsk:

TOWARY	1929	1930	1931	Wywóz ogółem w r. 1931
Produkty spożywcze . . .	673	838	527	1402
„ zmięse	3	7	2	21
Materjały i wyroby drzewne	608	753	884	1809
Rośliny i ich części . . .	30	21	14	66
Materjały budowlane i wyroby ceramiczne	73	65	22	212
Minerały oddzielnie niewymienione i wyroby z nich .	0.1	3	66	111
Paliwa, asfalt, ropa i pochodne	5.410	5.699	6.104	14.264
Materjały i przetwory chemiczne nieorganiczne . .	46	58	62	189
J. w. organiczne	7	5	5	32
Różne przetwory chemiczne	4	2	0.7	1
Metale i wyroby z metali .	6	13	17	571
Papier i wyroby z papieru .	3	8	12	28

Wywóz przez Gdynię:

TOWARY	1929	1930	1931	Wywóz ogółem w r. 1931
Produkty spożywcze . . .	33	110	226	1402
Materjały i wyroby drzewne	0.1	0.5	19	1809
Paliwa, asfalt, ropa i pochodne	2367	2817	4275	14.264
Materjały i przetwory chemiczne nieorganiczne . . .	0	2	28	189
Metale i wyroby z metali .	0	1	22	571

szedł do szczytu swej rozbudowy — Mimo to jednak porty te są już porównywalne. a nawet niekiedy Gdynia przewyższa Gdańsk. Rozpatrzmy kolejno urządzenia portowe tych dwu portów.

Powierzchnia wodna portu gdańskiego zajmuje obszar 896 ha (bez zmian do roku 1931), podczas gdy *powierzchnia wodna Gdyni* zajmuje 320 ha (w roku 1930 — 273 ha). ale powierzchnia wodna portu morskiego Gdyni zajmuje 320 ha (rzecznego portu niema), a port morski Gdańska mierzy zaledwie 211 ha (reszta 685 ha to port rzeczny). Również *Gdynia przewyższa Gdańsk co do głębokości portu.* Głębokość portu Gdyni stanowi od 6 do 12 metrów, pod czas gdy Gdańska dosięga tylko 10 metrów. *Nadbrzeży portowych* w eksploatacji posiada Gdańsk 31 klm., podczas gdy Gdynia zaledwie 6 klm., ale nadbrzeży portowych z głębokością 8 m. i wyżej Gdańsk ma zaledwie 2 klm., podczas gdy Gdynia 5 i pół klm. *Długość torów kolejowych* w porcie gdańskim wynosi 331 klm., podczas gdy w Gdyni zaledwie 64 klm. *Powierzchnia składów portowych* w Gdyni powiększa się bardzo szybko. Jeszcze na 1 stycznia 1931 powierzchnia składów wynosiła 45 tys. metrów kw., a już na 1 stycznia b. r. wynosi 106 tys. m. kw. Powierzchnia składów portowych w Gdańsku zajmuje 238 m. kw. (w r. 1931 — 228 m. kw.). *Dźwigów wszelkiego typu posiada* Gdańsk 88 (w roku 1931 — 87), podczas gdy Gdynia posiada 42 (w roku 1931 — 38). *Specjalnych urządzeń do przeladunku węgla* Gdańsk posiada 3, Gdynia zaś 4 (w r. 1931 — 1).

Te kilka powyżej rzuconych cyfr ogólnych ilustruje dobitnie rozwój Gdyni. Gdańsk już dawno przestał rozbudowywać się. Rzecz jasna, że skoro Gdańsk już z siebie nic nowego nie daje, to tembardziej winien być zadowolony, że pomimo tego ruch towarowy w porcie się zwiększa. *Bolesław Polkowski.*

SIGNUM TEMPORIS.

Zjazd Prezesów i Delegatów Kółek Rolniczych Powiatu Płockiego wydał do ogółu rolników odezwę, której najważniejsze ustępy brzmią:

„Chcąc iść na rękę słusznym i konsekwentnym poczynaniom naszego Rządu, rolnicy postanowili od dołu poprzeć akcję Władz Państwowych".

W tym celu zorganizowane rolnictwo po odbyciu szeregu konferencyj wyznaczyło jako minimalną cenę, leżącą w granicach najniższej opłacalności dla żyta 25 zł., dla pszenicy 32 zł.; i wstrzymać się od sprzedaży tych płodów, począwszy od dnia 22 sierpnia rb., dopóki cena ich nie dojdzie do żądanej wysokości".

Podobne uchwały, zapadły, podobno, także w innych okolicach kraju.

Przeczytanie tej odezwy nasunęło mi dosyć mieszane uczucia. Szacunek dla czynnej postawy wobec ogólnej troski i wobec naiwnej wiary w możność osiągnięcia prostą uchwałą tego, co już parokrotnie w podobny sposób i zawsze bezskutecznie próbowało urzeczywistnić także „zorganizowane rolnictwo" — amerykańskie, rozporządzające bodaj nieco większemi środkami niż powiat płocki; uśmiech z okazji znakomitego już przyswojenia sobie przez pp. prezesów i delegatów Kółek rolniczych znanej manjery naszych t. zw. „sfer gospodarczych", przed stawiających najbardziej egoistyczne posunięcia gospodarcze, jako ofiarę na ołtarzu dobra publicznego; wreszcie żal tych ludzi, którzy oto kosztem może doraźnych wyrzeczeń i dalszego zaciskania pasa" podjęli próbę solidarnego wysiłku, a którzy doznać muszą gorzkiego rozczarowania, przynajmniej w zakresie żyta (ceny pszenicy istotnie wzrosły dzięki katastrofie rdzy zbożowej). Trochę także zdziwienia, że pomimo „szeregu konferencyj" centralne władze organizacyj rolniczych nie przestrzegały lokalnych prezesów przed suggerowaniem tego rodzaju uchwał, nader niebezpiecznych dla autorytetu nietylko już prezesów, ale i całej organizacji. Dla podejmowania tego rodzaju trudnych akcyj zbiorowych trzeba mieć dużą pewność powodzenia, inaczej sieje się zniechęcenie i nieufność. Nie bawiąc się zaś w przepowiednie co do przyszłego ruchu cen, łatwo stwierdzić, że objektywnych danych, któreby pozwalały przewidywać znaczniejszy wzrost cen żyta jest mniej niż przed rokiem i mniej niż przed dwoma laty.

Uchwały rolników pow. płockiego są symptomatyczne, jako znak czasu. Rolnik, kupując cukier, naftę, żelazo, dziwi się, dlaczego ceny tych towarów okazały tak wielką odporność na działanie kryzysu. Dowiaduje się, że dokonała tego organizacja producentów, którzy umówili się nie sprzedawać poniżej oznaczonej przez siebie ceny. Stąd już krok tylko do próby naśladowania. Oznaczono ceny, postanowiono nie sprzedawać. Zapomniano tylko, albo nie dowiedziano się o drobiazgu, że organizacja chcąca skutecznie regulować ceny musi uprzednio zapewnić sobie stanowisko monopolowe. Jakże się dziwić temu przeoczeniu lokalnej organizacji kółek rolniczych, skoro stanowi ono podstawę działalności potężnej instytucji o charakterze publiczno-prawnym? Może przeoczenia praw ekonomicznych, są także znakiem czasu.

j. p.

ZWIĄZEK BANKÓW W POLSCE.

Naogół przyjął się w świecie cywilizowanym taki zwyczaj, że większe stowarzyszenia, związki i korporacje ogłaszają drukiem corocznie sprawozdania ze swej działalności. Jest to zwyczaj pożyteczny i chwalebny. Członkowie danego związku mają możność zapoznać się w ten sposób z działalnością wybranych przez siebie władz jeszcze przed odbyciem walnego zebrania; szeroka publiczność dowiaduje się tą drogą o zadaniach związku i jego użyteczności; wreszcie dla samych członków władz związku drukowane sprawozdanie jest doskonałym środkiem autoreklamy, którą przecież w wielu okolicznościach pogardzać nie można. Jeśli chodzi o treść sprawozdań, to bywa ona różna; zawsze jednak i wszędzie główną część ich stanowi omówienie działalności władz związku i wszystkich spraw tyczących się związku. Gdyby tej głównej części nie było, to jasnem jest, że sprawozdanie takie możnaby nazwać każdem innem mianem, tylko nie sprawozdaniem.

Innego zdania jest widocznie Związek Banków w Polsce, który wydaną przez siebie w lipcu broszurkę nazwał „sprawozdaniem za rok 1931". Broszurka ta liczy stron 17. Pierwszych stron 13 autorzy poświęcili omówieniu międzynarodowej sytuacji walutowej i kredytowej w roku ubiegłym przyczem nie omieszkali podać nawet tak frapujących szczegółów, jak kształtowanie się ważniejszych pozycyj bilansowych w wyszczególnionych nominatim bankach zagranicznych. Dalszych stron 4 (!) zajmuje opis sytuacji w Polsce, poparty ogólnemi zestawieniami statystycznemi, wyjętemi z „Wiadomości statystycznych" wzgl. innych publikacyj. W końcu, w paru zdaniach jest ujęta sytuacja banków, należących do związku z sumarycznem zestawieniem najważniejszych pozycyj bilansowych. To wszystko. Ani słowa wzmianki o tem, co robił Związek Banków wzgl. co się w nim działo w roku ubiegłym. Mało tego; czytelnik napotyka tu na pewne łamigłówki, których rozwiązanie w broszurze nie jest podane. Oto na pierwszej stronie sprawozdania podany jest spis członków Związku, z którego dowiadujemy się, że Związek liczy 19 członków; natomiast na końcu sprawozdania jest podany łączny bilans 22 banków, należących do Związku. Stanowczo Związek zbyt dużo liczy na domyślność czytelników; jakieś epitaphium nagrobne dla tych członków, którzy w ciągu roku odpadli, przecież się należało.

Nie rozpisywalibyśmy się o tem, gdyby ten wypadek nie był charakterystycznym dla pewnej strony polskiego życia gospodarczego. Zbyt wiele przemilcza się u nas z tego, co powinno być publicznie omawiane, zbyt wiele omawia się publicznie, co wszyscy już znają. Kto jak kto, ale Związek Banków powinien znać, stosowaną powszechnie w bankowości świata cywilizowanego maksymę: „Podstawą zaufania jest jawność działania".

Fr.

KOŃSKI ZĄB I SPRAWA POLSKA.

Bardzo znanym i bardzo starym jest kawał o „słoniu i sprawie polskiej". Przy całej swej humorystyce kawał ten nie pozbawiony jest głębszego znaczenia. Historja ta nasuwa się mimowoli na myśl, gdy się analizuje działalność Polski na różnych międzynarodowych konferencjach gospodarczych.

Są takie konferencje, których program nas żywo obchodzi. Udział nasz w takich konferencjach jest „kategorycznym imperatywem" dobrze pojętej racji stanu.

Jest jednak wiele takich konferencji, na których występujemy czynnie jedynie chyba tylko dzięki okoliczności, że jak wiadomo mamy bardzo „europejskich" dyplomatów. Stąd potrzeba udziału naszego w różnych naradach na najbardziej „egzotyczne" tematy. Stąd powódź wniosków naszych na różnych konferencjach (z których niektóre nawet są podobno dyskutowane!).

Historyjka o „słoniu i sprawie polskiej" częściej jest bliższa rzeczywistości niżby się mogło wydawać.

Największem powodzeniem cieszą się ostatnio nasze wnioski w sprawach rolniczych. Projekty nasze na konferencjach państw rolniczych przyjmowane są jednogłośnie.

Jest to niewątpliwie duży sukces polityczny. Każdy jednak kto czyta sprawozdania o tych konferencjach wczuwa się w przykrą sytuację Antoniego Słonimskiego, który wyjeżdżając na zwiedzenie Rosji Sowieckiej zabrał z sobą dwie fikcyjne postacie — Sceptyka i Entuzjastę. W drodze powrotnej Sceptyk urósł do olbrzymich rozmiarów a Entuzjasta bardzo zmalał.

Entuzjasta ponieważ będzie po każdej konferencji — balonikiem „prestige'u" politycznego.

Sceptyk zapyta się co nas z temi krajami łączy? Biorąc do ręki gazetę z ciekawością szukać będzie, czy występujemy jako importerzy, czy jako eksporterzy np. pszenicy? Wreszcie argumentować będzie że „to co najważniejsze"—tj. pieniądze, dostanie każdy z krajów środkowo i wschodnio - europejskich i tak łatwiej jako oddzielny kontrahent, niż, gdy występować będzie w grupie państw „potrzebujących". Ostatnio nadeszły wiadomości ze Stresy, iż dyskutuje się tam kwestję preferencji dla kukurydzy, pszenicy i jęczmienia pastewnego. Czy my będziemy te preferencje przyznawać, czy nam je przyznają? Podobno ma być ta ostatnia ewentualność. Który więc z tych produktów będziemy produkować jako nasz specjalny artykuł eksportowy? Może rozpocznie się znów propaganda za uprawą „końskiego zębu". Czy to jest tym razem — „koński ząb i sprawa polska"?

w. d.

WSPÓŁDZIAŁANIE

Życie nie jest romansem: tej prawdy nikomu uzasadniać nie potrzeba. Życie również jest nader skomplikowane, jedne kółka zazębiają się w drugie, istnieje olbrzymia współzależność. Życie polega na ustawicznych walkach, tarciach, ścieraniach się. Tem niemniej istnieje zupełnie naturalna, zdrowa, instynktowna tendencja usuwania powodów sporu, sprowadzania walk na płaszczyznę porozumienia, zastępowania kontrowersyj współpracą i współdziałaniem.

Współdziałanie instytucyj dobra publicznego, instytucyj społecznych powinno być zrozumiałe samo przez się. Tu w grę nie mogą wchodzić ambicje jednostek, interesy osobiste, chęć postawienia na swojem bez oglądania się na skutki dla zbiorowości. Jeżeli konkurujące ze sobą, walczące—zdawałoby się —na śmierć i życie przedsiębiorstwa o tym samym celu i zakresie działania, łączą się ze sobą i tworzą mniej lub więcej ścisłe bloki, to jak ma się układać stosunek dwóch różnych, ale wzajemnie się potrzebujących instytucyj publicznych, jak nie na płaszczyźnie lojalnej współpracy.

Ze „sterczących dumnie pałaców“ teorji zstąpmy do „chatki“ polskiej rzeczywistości gospodarczej. Z bogatego albumu faktów, będących tej teorji jaskrawem zaprzeczeniem, wydobywamy — chwilowo — tylko dwie fotografje „współdziałania“ w praktyce.

Fakt pierwszy: Polskie Linje Lotnicze „Lot“ (właściciel: Skarb Państwa) utworzyły dział prac aerofotogrametrycznych. Na konferencjach międzyministerjalnych uznano, że prace te powinny być scentralizowane w „Fotolocie“ (wydziale „Lotu“), który ma otrzymać odpowiednie wyposażenie techniczne. Ale — verba volant...

Ministerstwo Robót publicznych rozumie tę centralizację w sposób swoisty: po pierwsze—odmawia wypożyczenia „Fotolotowi“ posiadanych aparatów, po drugie — nie płaci mu należności za już wykonane prace, a po trzecie (i tu jest „clou“ zdarzenia) organizuje własną placówkę fotogeodezyjną, nabywając dla niej sprzęt aerofotogrametryczny. W ten sposób w Polsce, gdzie z braku środków finansowych i słabego popytu na prace aerofotogrametryczne wystarczyłaby jedna tego rodzaju placówka, mamy ich już dwie, a kto wie, czy nie zanosi się na dalsze, bo ambicje poszczególnych resortów są olbrzymie.

Fakt drugi: w sprawozdaniu Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej za rok 1931 czytamy na str. 280: „Finansowanie przez Spółdzielnię robót wodociągowo - kanalizacyjnych Magistratu przybrało nowe formy. Przedstawiano nam mianowicie kosztorys obliczony z podwójnym zapasem, żądano wpłacenia zgóry 50%, zaś po wykonaniu roboty okazywało się, że Spółdzielnia sfinansowała budowę całkowicie i jeszcze miała zapłacić procenty od tej części zaliczki, na którą dała gwarancję bankową“. Sposób, zastosowany przez m. st. Warszawę, możnaby opatentować, tak jest świetny, uczy bowiem, jak tanim kosztem można przerzucić inwestycje miejskie na konsumenta - lokatora, który dla otrzymania wody i kanalizacji musi pójść na warunki miasta, powołanego — zdawałoby się — do pomagania obywatelom, a nie do przystawiania im rewolweru do skroni.

so.

MAJĄTEK, DOCHÓD I SPOŻYCIE.

Dane, które publikuje Ministerstwo Skarbu o dochodach budżetowych, pozwalają w znacznym stopniu zorjentować się w sytuacji, w jakiej pod panowaniem kryzysu znajdują się w Polsce: majątek dochód i spożycie. Jak reagują one na kryzys, co musi bezwątpienia odzwierciadlić się w podatkach, wyjaśni nam statystyka.

Jeżeli (być może niezupełnie w zgodzie z nauką skarbowości) do danin, obciążających de facto majątek, zaliczymy podatek: majątkowy, gruntowy oraz od kapitałów i rent, zaś podatki: od nieruchomości (t. zn. od przychodu brutto, jaki daje nieruchomość, budynek), dochodowy, wojskowy, od niektórych zajęć zawodowych oraz loterję — obejmiemy ogólną rubryką danin, obciążających dochód, a wszystkie pozostałe podatki (t. zn. pośrednie, pozostałe monopole i cła przywozowe oraz z bezpośrednich: przemysłowy i od elektryczności) przyjmiemy za daniny, odnoszące się do spożycia, to za okres 5 miesięcy (kwiecień — sierpień) 1931 i 1932 r. otrzymamy nast. charakterystyczne zestawienie (w miljonach zł.):

obciążenie	1932 r.	1931 r.	—%
majątku	20,2	30,8	—34
dochodu	103,6	117,3	—12
spożycia	448,3	511,8	—12

Pozostałych danin, jako to: cło wywozowe, opłaty stemplowe i 10%-wy dodatek, oraz akcyzowych opłat patentowych i wszelkich odsetek zwłoki, należności egzekucyjnych, grzywien i zaległości podatków zniesionych nie bierzemy tutaj pod uwagę. Daniny, uwzględnione wyżej w zestawieniu, stanowiły w r.b. 86% ogółu dochodów skarbowych z podatków, opłat i monopoli, są więc zupełnie miarodajne.

W zestawieniu, o którem mowa, uderza nikłe obciążenie majątku, stale zresztą malejące. Jest to tendencja zdrowa, zjawisko korzystne. Obciążenie przerzuca się głównie w kierunku pociągnięcia do opodatkowania dochodu sensu largo. Największe przytem korzyści Skarb Państwa czerpie z opodatkowania spożycia. Podatki pośrednie zmniejszyły się w rb. zaledwie o 9%, a wpływy z monopoli tylko o 3%, co dowodzi zarazem, że konsumcja wina, piwa, cukru, drożdży, oleju skalnego, zapalniczek i kwasu octowego tudzież soli i spirytusu, tytoniu i zapałek utrzymuje się na niezmienionym niemal poziomie. Natomiast podatek przemysłowy spadł o 23%, co dowodzi, że jednak spożycie wszystkich pozostałych towarów mocno się skurczyła. Najgorzej z cłami: dały w rb. mniej o 36%; import spada najsilniej. I to jest nasze „szczęście w nieszczęściu“.

Jasne jest również, że na podatkach od spożycia (pośrednich i monopolach) w pierwszej, a na podatku dochodowym i przemysłowym w drugiej linji opiera się teraźniejszość i przyszłość budżetu. O tem warto pamiętać, myśląc i mówiąc na temat reformy podatkowej.

k. b.

Redaktor odpowiedzialny KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: CHMIELNA 23 M. 6 TEL. 727-99. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka“, Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.